MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 20 WARSZAWA, 8 MAJA 1938 R. CENA NUMERU 30 GR.

FAKTORIE NIEMIECKIEGO IMPERIALIZMU

JESTEŚMY świadkami rozgrywającego się w naszych oczach kryzysu politycznego Europy południowo - wschodniej, spowodowanego *„Anschlussem"* i jego konsekwencjami. Dramat Czechosłowacji, ożywione nadzieje rewizjonistyczne na Węgrzech, utrata wagi politycznej przez Małą Ententę itp., to wszystko są skutki, jakie na tym obszarze — od Sudetów i Karpat ku Morzu Czarnemu — wywołały niedawne pociągnięcia polityki niemieckiej i ich dalsze reperkusje. Nie jest to żadne novum ani też improwizacja polityczna, ale szybkie odżywanie na tym obszarze tradycyj polityki Habsburgów, śmiało podejmowanych przez dzisiejsze Niemcy narodowo - socjalistyczne, którym nie można odmówić ani braku wyobraźni ani też odwagi przedsiębrania dalekosiężnych zamierzeń.

Dla Polski te sprawy nie tylko że nie są obojętne, ale jasne jest, iż bezpośrednio dotyczą naszego bytu i naszej przyszłości. Z niezmożoną energią, nawiązując do najlepszych wzorów polityki polskiej w tym zakresie w przeszłości, musimy podjąć problemat Europy południowo - wschodniej. Nie kusimy się teraz o bliższe roztrząsanie dróg, któremi polityka nasza kroczyć powinna w basenie Dunaju, pragniemy bowiem przedewszystkiem zwrócić uwagę na samo zagadnienie oraz na jeden z ubocznych na pozór ale w rzeczywistości donioslych jego czynników, a mianowicie na niemieckie mniejszości i ich rolę w państwach od Sudetów do ujścia Dunaju.

W Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii i Jugosławii żyje około 6 milionów Niemców. Cyfra to duża i bez wątpienia wystarczająca, aby przyznać mniejszościom niemieckim w tych krajach znaczenie bardzo ważnego żywiołu, który wywrzeć może wielki wpływ w związku z zamierzeniami imperializmu niemieckiego.

Owe 6 blisko milionów Niemców, rozsianych od Sudetów i Karpat po Morze Czarne i Adriatyckie, w różnych organizmach państwowych oraz warunkach, nie przedstawiało siły zbyt groźnej gdy żyło w podziale na różne odłamy polityczne i społeczne, utrzymujące łączność dość luźną i dorywczą, opartą po wojnie światowej raczej na ochronie dóbr kulturalnych aniżeli na celach ściśle politycznych. Dziś się położenie zmieniło i ten podział należy do przeszłości. Narodowy socjalizm, jego teoria i praktyka, do gruntu przemienił charakter niemieckich grup narodowych poza granicami Rzeszy. Zjednoczył je, przeinaczył ich strukturę, a przedewszystkiem podniósł poczucie ścisłej łączności z państwem niemieckim, która obraca się nie tylko w sferze duchowej. Kanclerz Hitler uważa się za *Führera* wszystkich Niemców, bez względu na to, czy są oni obywatelami Rzeszy, czy też nie. Nie jest to zaś bynajmniej przewództwo dekoracyjne, boć przecież ono upoważniło Hitlera do *Anschlussu* pod hasłem obrony uciśnionych narodowych socjalistów Austrii.

W chwili obecnej położenie mniejszości niemieckich w Europie południowo - wschodniej jest tego rodzaju, że z znikomemi wyjątkami wyznają one ideologię narodowo-socjalistyczną. W Czechosłowacji narodowo-socjalistyczna Niemiecka Partia Sudecka obejmuje 90 pct wszystkich Niemców [1]). Ostatnio przystąpił do niej Związek Rolników i Niemcy Chrześcijańsko-Społeczni. W Rumunii oba istniejące ugrupowania niemieckie, Wspólnota Narodowa i Niemiecka Partia Ludowa, przyznają się do narodowego socjalizmu. W Jugosławii są trzy stronnictwa niemieckie: dawny Szwabsko-Niemiecki Związek Kulturalny, Ruch Odrodzenia i Młodoniemcy. Te trzy partie wyznają narodowy socjalizm, a niedawno zawarły one między sobą układ o rocznym zawieszeniu broni. Węgry są jedynym krajem, gdzie istnieje znaczniejszy ruch niezależny od narodowego socjalizmu w postaci oficjalnego przedstawicielstwa węgierskiej niem-

---

[1]) Dane dotyczące stosunków wśród Niemców Europy południowo-wschodniej czerpiemy z tygodnika *„Der Deutsche in Polen"*.

czyzny pod nazwą Węgiersko-Niemieckie Towarzystwo Oświaty Narodowej, któremu przeciwstawia się narodowo-socjalistyczna organizacja zwana Narodowo-Niemieckie Koleżeństwo.

W ogóle z 6 milionów Niemców mieszkających w Europie południowo-wschodniej około 5 milionów określić można jako stojących pod kierownictwem narodowo-socjalistycznym. Znaczy to, że taka liczba Niemców na tym obszarze politycznych zakusów germańskich podlega jednolitemu i autorytatywnemu kierownictwu, będąc w ten sposób szczególnej wagi faktorem niemieckiej polityki południowo-wschodniej. Jak to faktorstwo w sprzyjających warunkach wyglądać może w praktyce, obserwujemy na postępowaniu Niemieckiej Partii Sudeckiej, która się zgoła nie kryje ze swą rolą, wysuwając pod adresem rządu czeskiego żądania idące wyraźnie po linii niemieckich planów imperialnych, jak np. „rewizji kierunku polityki zagranicznej, który państwo zawiódł w szeregi wrogów narodu niemieckiego".

Jednolita organizacja i autorytatywne kierownictwo milionów Niemców w Europie południowo-wschodniej, posiadające w sposób mniej lub bardziej wyraźny swoje źródła dyspozycji w Rzeszy, są to fakty, z któremi musi się liczyć polityka państw naddunajskich oraz tych wszystkich, jakich zainteresowania na ten obszar sięgają. Przypomniana kiedyś przez „Myśl Narodową" ustawa z czasów cesarskich Niemiec o „podwójnym poddaństwie", uzasadniana wszechświatowymi celami niemieckiej polityki, odżyła obecnie w nowej swej formie, rzec trzeba, o wiele groźniejszej niż dawniej. Rzecz nie ogranicza się zresztą do krajów Europy południowo-wschodniej, boć takie polityczne faktorie niemieckie idą przecież wzdłuż Dunaju i Wisły aż ku państwom bałtyckim.

Kreślą one równocześnie drogi, na które czyha imperializm niemiecki, a także wytyczają obronne szlaki, jakie powiązać winna twórcza, polska myśl polityczna.

Poznań STANISŁAW TABACZYŃSKI

TRAGEDIA RELIGIJNA NIEMIEC

NA MARGINESIE KSIĄŻKI L. HALBANA [1])

I

PRZEMIANY które obecnie dokonują się w duszy narodu niemieckiego, są tak głębokie w swej istocie, a tak intensywne w swoim napięciu, że jedynie dadzą się porównać z reformacją Lutra. Narodowy socjalizm Hitlera i Rosenberga wystąpił z ideą jedności narodowej, a stworzył taki rozdział, taką przepaść między tymi, którzy wyznają ideologię hitleryzmu, a tymi, którzy jej uznać nie mogą, że tu żadnego czynnika pośredniego być nie może. Ekskluzywny pogląd narodowo-socjalistyczny bowiem a chrześcijaństwo to sprzeczności nie do pokonania, a konflikt ten nie tylko, że nie straci na napięciu, ale będzie się pogłębiał, aż zwycięży krzyż albo swastyka. W każdym razie fakty przytoczone przez Halbana nie każą zbyt optymistycznie myśleć o przyszłości chrześcijaństwa, a zwłaszcza katolicyzmu w Niemczech. [2])

Zwłaszcza katolicy przeżywają w Niemczech czasy, które można porównać z wielkimi prześladowaniami pierwszych chrześcijan. Postawa episkopatu katolickiego w Niemczech jest heroiczna. Jednym z najbardziej nieustraszonych jest kardynał Faulhaber z Monachium. [3])

Przesłanki do tej obecnej tragicznej rewolucji duchowej w Niemczech nurtowały w duchu narodu niemieckiego na długie dziesiątki lat przed rokiem 1914. Dopiero straszna klęska Niemiec w roku 1918 przyśpieszyła proces skrystalizowania się i narodzenia nowego poglądu na świat. Nacjonalistyczno-socjalistyczny bowiem program sformułowany poraz pierwszy w „*Mein Kampf*" Hitlera (1924), a pogłębiony i rozwinięty w dziele Alfreda Rosenberga „*Mythus des 20 Jahrhunderts*" (1930) jest poglądem na świat, który obejmuje człowieka całego, a więc i jego religię. Jest ten nowy pogląd na świat objawem odwrotu od racjonalizmu do instynktu, a zatem do prądów iracjonalistycznych, które w 19 i 20 wieku dużą i w Niemczech odegrały rolę.

Trzecia Rzesza oznacza germańskie panowanie nad światem z tytułu supremacji światowej w imię wyższości krwi i rasy niemieckiej. Trzecia Rzesza jest państwem ludowym, opartym na indywidualnym przewodnictwie. Kanclerz jest przywódcą państwa, ludu i politycznej drużyny przewódców N. S. N. P. R. — Po śmierci Hindenburga połączył Führer godność kanclerza z godnością głowy państwa. Cechą istotną poglądu hitlerowskiego jest to, że nie znosi obok siebie żadnego innego. Na żadną istotną samodzielność jakiegokolwiek wyznania chrześcijańskiego miejsca tu nie ma. Pogląd ten głosi ideę narodu wybranego, a mit rasy i krwi nie wymaga uzasadnienia naukowego, wymaga wiary, a ta istnieje.

II

Przesłanki dzisiejszego rozdarcia Niemiec sięgają głęboko wstecz. Z apoteozą germanizmu spotykamy się już u powieściopisarza i poety F. Dahna, u Hegla, Fichtego, Schleiermachera i Hartmanna.

Dużo narodowy socjalizm zawdzięcza antychrześcijańskiej ideologii Nietzschego i Treitschego, który gloryfikował dzieło Lutra. Należy tu pamiętać również o sztuce Wagnera, która odwoływała się do wartości kulturalnych staro-germańskich. Nar. socjaliści tęsknią do ludowej zasady religijnej, w czym mieli poprzednika choćby w R. Euckenie.

[1]) Leon Halban: Religia w Trzeciej Rzeszy. Lwów Towarzystwo Naukowe. 1936 Gubrynowicz i Syn. Knlb. 1 + str. 402 + knlb. 1.

[2]) Porównaj też: Zbigniew Załęski: Położenie katolicyzmu w Trzeciej Rzeszy. Przegląd katolicki z roku 1937 nr. 17—18.

[3]) Porównaj: Ks. dr. Zygmunt Wądołowski: Martyrologia duchowieństwa w Niemczech. — Przegląd katolicki z roku 1936 nr. 31—32.

III

Poza ideologią narodowego-socjalizmu dwa są obok katolicyzmu główne prądy religijno-kulturalne: to ruch niemiecko-chrześcijański i neopoganizm. Ruch niemiecko-chrześcijański łączy się zwłaszcza z nazwiskiem uczonego profesora teologii Pawła de Lagarde'a, który głosił zerwanie z uniwersalizmem chrześcijańskim, a potrzebę własnej, z niemieckiej duszy zrodzonej religijności i pobożności. Na wybrańswie narodu i rasizmie krystalizują się podstawy nowego chrześcijaństwa niemieckiego. Ideałowi chrześcijańskiemu przeciwstawiają bohaterski pogląd na świat, odwołując się przytem do średniowiecznego Helianda. Dla Niemiec istnieje oddzielne prawo i to Boskiego pochodzenia, personifikowane w wodzu. Nar. socjalizm jest praktycznym chrześcijaństwem naszych czasów, nie tylko utożsamiają oni Hitlera z Chrystusem, ale niektórzy uważają go za postać od Chrystusa większą. Klages np. uczeń de Lagarde'a, rekonstruuje niesfałszowaną Ewangelię, a Jezusa jako niemiecko-aryjskiego Zbawiciela przedstawia. Na te poglądy wpłynęła też książka Chamberlain'a — „*Die Grundlagen des XIX Jahrhunderts*" — Według Dintera Jezus jest pierwszym najwyższym nar.-socjalistą wszystkich czasów, a św. Paweł pierwszym i największym marxistą wszystkich czasów. Nadnaturalność zlikwidowano, teologia niemiecka głosi wiarę w przyczynę ukrytą wszelkiego bytu, tworzącą wszelkie bytowanie, obejmującą nieskończoną pełnię świata. Każdy człowiek niemieckiego narodu — to namiestnik Boga.

IV

Protoplastów tych poglądów należy szukać w mistrzu Eckehardt'cie (+ 1327), w Jakóbie Böhem (+1624), Janie Schefflerze (Angelus Silesius) (+1677) i in.

Etykę chrześcijańską odrzucają jako etykę odpłatną (Lohnmoral), mają tu swoich poprzedników i w Lutrze i w Krzyżakach, w Fryderyku Wielkim i Bismarcku.

Neopoganie odrzucają nawet nazwę chrześcijan, a wyznają jakąś prawiarę nordycko-atlantycką, jakieś kosmiczne chrześcijaństwo (*Deutsche Glaubensbewegung, Nordische Glaubensbewegung*). Dużo tu zaważyła ideologia Nietschego, oraz racjonalistyczne dzieła Feuerbacha, Straussa, przyrodnicze dzieła Heckla, Ostwalda, kult Eddy, Nibelungów, poprzez Wagnera. Już w 1907 roku założono *Germanische Glaubensgenossenschaft* (G. G. G.). Obok innych wszystkie te stowarzyszenia pragną porwać za sobą chrześcijaństwo, ponieważ jest ono obciążone żydowskim dorobkiem myślowym i nie łączy się z rasowym poczuciem ludu niemieckiego. Grzechowi i zbawieniu przeciwstawiają mit nordycki: krew i honor. Profesor Hauer jest przekonany, że prymat należy do wiary niemieckiej. Gdyby nie to, że katolicy a także znaczny odłam protestantów z narażeniem na największe ofiary trwa przy wierze ojców, obawy prof. Halbana byłyby nie zachwiane. Mówi on mianowicie: „w świetle naszych rozważań można zrozumieć powstanie przekonania, że z biegiem, kto nie wie czy nawet nie bardzo krótkiego czasu, uda się zupełna dechrystianizacja. [4]) Dodać należy, że od lat generał Ludendorff i jego małżonka Matylda głosili konieczność odwrostu od chrześcijaństwa. Niemieccy chrześcijanie całkiem poddali się narodowemu-socjalizmowi, a więc stracili podstawy wierzeniowe.

V

Niemiecki duch religijny ma wybitnie cel polityczny, a jest nim osiągnięcie jedności narodowej. Wychodzą z założenia, że ten tylko naród jest w pełni narodem, który ma z ducha swego wyrosłą religię.

Dążność ta istniała przed Hitlerem, Hitler był tej świadomości wyrazem. Teologia nar.-socjalistyczna jest tylko zakończeniem tego długotrwałego procesu. Według Bergmana dzieło Lutra jak i Bismarcka do połowy tylko było doprowadzone. Musi być narodowy niemiecki Bóg, jak i jeden naród. Chrześcijaństwo według Bergmana, to wytwór cierpienia duszy, zmęczonej życiem ludów śródziemnomorskich, wielkim błędem chrześcijaństwa to zbawienie bez dzieła ludzkiego. Tej wierze przeciwstawiają wolę czynu.

Jak widać pojęcia te są bardzo prymitywne, ale i niebezpieczne i słusznie Halban przed lekceważeniem ich przestrzega, sięgają one bowiem zbyt głęboko w życie narodu niemieckiego. Wprawdzie w konkordacie z roku 1933 zapewniono katolicyzmowi nienaruszalność nauki i wiary i niezmienność zadań i praw Kościoła, ale wobec totalnego poglądu na świat narodowo-socjalistyczny o jakiejkolwiek działalności swobodnej katolicyzmu mowy być nie może. Cały bowiem Konkordat nie przyczynił się do ograniczenia i osłabienia pogańskiego idealizmu.

Wychowanie oparte jest na etyce siły. Etyka ta usiłuje wychować nadludzi nietzscheańskich raczej, a nie chrześcijan, bohaterów, a nie świętych. Czytamy w *Temps* z 24 lipca 1933 roku. — „Na uniwersytetach młodzież musi przejść kursa światopoglądowe. Młodzież katolicka — to młodzież drugiej klasy. Podobnie jak w XVI wieku — „*cuius regio eius religio*". „Czy cierpienia, krew nowych męczenników, łącznie z silną postawą zdecydowanego na wszystko episkopatu, o czym świadczą enuncjacje biskupów, nie staną się źródtem zgoła innego rozwoju wypadków, aniżeli upragnionego przez prześladowców, — okaże przyszłość". [5])

Dzisiaj trwa w Niemczech bój o charakter kultury opartej o chrześcijaństwo z podstawami opartymi o pogaństwo. Walka ta rozdarła duszę narodu niemieckiego i zamiast upragnioną jedność narodowy-socjalizm przyniósł tylko rozbicie.

Dwie grupy zatem, które ma nar.-socjalizm przeciw sobie, t. j. niem. chrześcijaństwo-narodowe i neopoganizm, obie głęboko i od wielu lat dziesiątek zakorzenione są w Niemczech — i dlatego tym niebezpieczniejsze. Te swoiste prądy mistyczne doznały uznania przedewszystkiem w duszach młodzieży wychowanej w latach prostracji, myśli o rewanżu, w poczuciu krzywdy. Kto przeczytał uważnie „*Mein Kampf*" Hitlera, ten wi-

---

[4]) Por.: str. 175.

[5]) Por.: str. 374.

dział z jaką zajadłością i zaciekłościa analizował autor zmurszałość starego świata, widząc jedyną winę w żydowskim marxizmie. Ci którzy z Hitlerem rozbudowywali pogląd na świat nar.-socjalistyczny, posunęli się o krok dalej, obwiniając chrześcijaństwo o wszelkie zło, które naród spotkało.

Jest to — wierzymy w to — objaw podyktowany rozpaczą, objaw patologiczny. Od zwalczanych żydów przejęli ideę narodu wybranego, wyższości ponad wszystkich innych, pogardę dla słabszych, stworzyli rodzime, niemieckie *ghetto*, izolując się świadomie od świata kultury zachodniej. Czy na długo im wystarczą źródła rodzimego poganizmu? I jeszcze jedna nasuwa się tu uwaga. Zbyt jaskrawo nieraz protestantyzm bywał sługą tronu i narzędziem, by, nie znalazłszy tej ostoi, zejść na bezdroża. Dlatego też autonomiczny katolicyzm ma, mimo wszystko, widoki rozwoju i przetrwania tej burzy. A zawsze kościół potęgę swą na prześladowaniach wzmacniał.

Dzieło prof. Halbana ogromnie dużo daje materiału do poznania epoki, której kształtowanie ma nie tylko dla samych Niemiec znaczenie, lecz i dla całego świata. Dlatego musimy baczną zwracać uwagę na to, co się tam dzieje.

Grodzisk Poznański JAN ŚWIERZOWICZ

PARLA IL DUCE

(ROZWAŻANIA PO MOWIE MUSSOLINIEGO W SPRAWIE *ANSCHLUSSU*)

WSZYSTKO, co tyczy układu sił politycznych w Europie musi nam być bliskie. Brak zainteresowania i zrozumienia spraw polityki ogólno-europejskiej za dużo nas kosztował w przeszłości, ażeby dziś w prasie już przejść do porządku dziennego nad tak ważnym wydarzeniem historycznym — jak *Anschluss*. O wyniku plebiscytu nie na celu mówić. W różnych swych formach plebiscyt — to właściwie najdziwniejsze a zarazem pełne sprzeczności zjawisko w życiu politycznym narodów. Wystarczy sobie przypomnieć starożytną Grecję, lub nowoczesną Amerykę i jej głosowanie o prohibicji, plebiscyt na Śląsku, albo też Szwajcarię i jej ostatnie referendum w sprawie zniesienia masonerii, albo jeszcze Napoleona III i jego rzekomych partyzantów w liczbie 6 milionów z 1869 roku, którzy z takim samym entuzjazmem witali III Republikę rok później, nawet bez plebiscytu, i przypatrywali się Komunie. To też jedynie istotny jest tekst dokonany 11 marca 1938 r.

W kilka dni potem Mussolini wygłosił wielką mowę w senacie. Znany jest ogólny jej sens. Duce stwierdza, że w gruncie rzeczy wszystko jest w porządku między Rzymem a Berlinem, że stało się to, co miało być. I tu warto przytoczyć środkowy ustęp przemówienia i zapamiętać go sobie: „(między 1934 a 1936 rokiem) Solidarność dyplomatyczna Italii i mocarstw zachodnich zostaje zerwana przez sankcje i jawny plan „uduszenia“ narodu włoskiego”. — Nie bez powodu czytał Mussolini swą mowę, czego dotychczas nie robił. Albowiem, z wyjątkiem cytowanego zdania i kilku efektów oratorskich dla użytku masy, nie tyle to, co w niej się mieści jest ważne, ile właśnie to wszystko, co zostało nie wypowiedziane. Mimo to mamy na samym początku pewną niespodziankę.

Wszakże każdego musiało uderzyć słowo, jakiem określa Mussolini wypadki austriackie. „Dramat narodu austriackiego rozpoczął się nie wczoraj lecz już w 1848 r”. Jak to dziwnie brzmi. Jaki dramat? Jeśli Austriacy, jak to wynika z wywodów Mussoliniego, gorąco pragnęli *Anschlussu*, czemu więc po tym szczęśliwym wydarzeniu mówić jeszcze o dramacie. Chodzi przecież o przeszłość, rzuci czytelnik. Zobaczymy.

Do roku 1914 państwo Austro-węgierskie było nieco większe obszarem od Niemiec, a do 1866 roku uchodziło obok Anglii, Francji i Rosji za najpotężniejsze na świecie. Nie mogli zatem Austriacy mieć żadnego kompleksu niższości historycznej, powtóre biedy w kraju nieznali, ani kryzysu ekonomicznego na dzisiejszą miarę. Gdzie więc dramat? Czyżby sam *Anschluss* był tym dramatem? Zastanawiające jest to, że do samego końca przemówienia będzie używał Mussolini zwrotu: „*Il dramma del popolo Austriaco*. Ale tłumaczy nam dalej. że „Epilog miał szybki rytm niepowstrzymanych sił natury“. Dramat, epilog, rytm, siła, natura cóż to za zestawienia, to prawdziwie romantyczna frazeologia niezgodna z łacińską jasnością. W dramacie przecież uczestniczą żywe istoty zwane ludźmi, poruszane przez rozum i namiętności, a nie epilogują bynajmniej niepowstrzymane siły natury, które działają w mechanice, astrofizyce, i są przedmiotem systemów kosmogonicznych i metafizyki a nie treścią historii narodów czy życia jednostek.

Poza tym możnaby się zapytać, czy wolno mówić ogólnikowo o szybkim rytmie w naturze. Istnieją wprawdzie pewne gatunki muszki, które dają w ciągu roku aż 600 generacji ku wielkiemu zadowoleniu biologów głowiących się nad teoriami dziedziczności, — lecz z drugiej strony wiele to nieliczonego czasu upłynąć musiało, ażeby dziś mogli ludzie korzystać z owoców „wielkiej pracy przyrody”, tzn. z pokładów węgla czy ze złóż nafty już bliskich wyczerpania zdaniem biologów. Gdzie ten szybki rytm? Cóż wobec tego oznacza w języku politycznym, realnym to zdanie? To nic innego jak wszelkiego rodzaju interesy i namiętności polityczne jednych, sprzeciwiających się interesom i namiętnościom politycznym drugich. To skutki propagandy niemieckiej działającej na wszelkich terenach od kiedy p. de Staël napisała hymn na chwałę Niemiec, jakim jest dzieło *de l'Allemagne*, to skutki uwielbienia całej Europy dla wszystkiego co niemieckie. To jeszcze dobrowolny wybór takiego a nie innego kierunku w sprawach europejskich, odpowiadającego pewnej określonej filozofii politycznej.

*

Czy właśnie tego rodzaju interpretacji nie trzyma się *il Duce*, kiedy w dalszym toku przemówienia przypomina, że 12 listopada 1918 r. no-

wy rząd związkowy państwa oświadczył, że Austria stanowi część składową rzeszy z przybraną nazwą Republiki niemieckiej Austrii? Podobne przedstawienie tej sprawy upraszcza do minimum cały splot zagmatwanych wydarzeń i przyczyn tychże oraz pomija zupełnie wszelkie względy i reakcje natury psychologicznej ludności austriackiej, jakie towarzyszyły tym momentom dziejowym.

Sięgnijmy pamięcią do tych czasów. Po upadku monarchii austro-węgierskiej, każdy w Europie się spodziewał ostrej reakcji nowo powstałych państw, jak Czechy i Jugosławia. Sądzono, że mimo traktatu bezsilną teraz Austrię spotka ich zemsta w formie mniejszego lub większego konfliktu zbrojnego. Jak się przed tą groźną ewentualnością uchronić — oto troska zajmująca wszystkie umysły austriackie w tych latach. Tu można mówić o dramacie.

Było wiadomo już przed ukończeniem wojny, (chociaż się tego obawiali politycy Rzeszy), że sąsiadowi niemieckiemu Alianci nie zamierzają zagrażać żadnem rozbiciem jedności politycznej. Zgoła przeciwne i również znane natomiast było ustosunkowanie się Ententy do katolickiej Austrii. Przypomnijmy sobie działalność Masaryka i masonerii, na forum międzynarodowem. Rzecz prosta, w tych warunkach, że przybliżenie się do Rzeszy wydawało się zbawienne. Jedynie tam mogli politycy wiedeńscy szukać i znaleźć oparcie moralne czy nawet materialne. Lecz to jeszcze jednostronne oświetlenie zagadnienia.

Kto dziś może ręczyć, że rząd socjalistyczny Bauera i Rennera kierował się pobudkami patriotycznemi, a nie np. ideologicznemi, o wiele istotniejszemi dla doktryny socjalistycznej mało dbającej o ideę ojczyzny, tzn. ażeby znienawidzony katolicyzm austriacki pochłonął wreszcie zwycięski protestantyzm nierozbitej Rzeszy? Kto wie, czy ci zdobywcy władzy nie byli poprostu świadomypionkami niemieckimi na podobieństwo Seyss-Inquarta dla dokonania *Anschlussu?* Przecież w ciężkich okolicznościach historycznych, a zwłaszcza po przegranej wojnie i wobec widma anarchii domowej każdy naród poddaje się śmiałym jednostkom — i można wtedy nim manewrować jak zwykłą trzodą. Z drugiej zaś strony jest rzeczą stwierdzoną nie jednokrotnie w dziejach narodów, że okazję taką najlepiej wykorzystują jeno rewolucjoniści, z których się wyłoni albo Stalin albo Mussolini, a nie konserwatyści czy umiarkowani. To też w owych chwilach przełomowych nie gra żadnej roli jakaś spontaniczność narodu, lecz tylko apatia i nieokreślona obawa, że może być, że będzie gorzej. Stąd nie raz entuzjastyczne uznanie dla śmiałych zdobywców władzy,

Czy takie czynniki w Austrii nie mogły zaważyć w 1918 roku? Szkoda, że Mussolini o tego rodzaju przyczynach się nie wypowiada. Szkoda również, że milczy nad błędnemi założeniami Traktatu Wersalskiego w sprawie mniejszości narodowych, z którego logicznie a nie z powodu fatalizmu rasowego czy dziejowego musiał wyniknąć *Anschluss.* Tam się znajduje właściwe wytłumaczenie obecnej sytuacji.

Pisarze polityczni doby wojennej, których nie zaślepiło wszystko co niemieckie (wśród nich było na szczęście również kilku trzeźwych Polaków) przestrzegali Aliantów przed tworzeniem takiej Austrii, gdzie by $^1/_3$ całej ludności żyła w jednem mieście. Dowodzili, że z tego faktu politycznego wyniknie zagadnienie polityczne na dłuższą metę nierozwiązalne bez poważnych pożyczek finansowych ze strony Ententy i jej finansistów, którzy poskąpią pieniędzy Austrii ale nie Rzeszy. — Istotnie ileż tam miliardów się zamroziło, o których się już nie mówi ani wspomina, a które odbudowały Niemcy na nowo potężniejsze politycznie niż w 1914 roku. Przepowiadali ci pisarze, że nowe państwo stanie się dobrym terenem dla demagogii socjalistycznej i że nie obędzie się bez *Anschlussu.* Tak też wszystko się sprawdziło mimo różnych Briandów i Lloyd George'ów.

Duszenie się gospodarcze Austrii trwało aż do czasu Dolfusa, który musiał zginąć, ażeby Austria nie mogła się wydobyć z trudności ekonomicznych, a propaganda hitlerowska na terenie dyplomatycznym mogła przedstawić *Anschluss* jako zbawienne wyjście głównie dla tego kraju. O tem Mussolini, jako skrępowany sojusznik, nie mógł w senacie mówić, choć o tem myślał w duchu, bo pisywał w tym sensie aż do roku 1934 raz po raz w *Popolo d'Italia*, o czem każdy się może przekonać zaglądając do francuskiego tłumaczenia pism i mów Mussoliniego wydanych u Flammariona. Dla lepszego zrozumienia jego mowy i jego postępowania w ostatnich latach należało te dane historyczne sobie uprzytomnić.

Poznań CZESŁAW TACZANOWSKI

(Dok. n.)

DROBNE POPRAWKI

NIE CHCĘ tutaj polemizować z P. Stanisławem Pieńkowskim na temat ocenianej przez niego książki J. Mosdorfa „Wczoraj i jutro". Nie chcę choć uważam, że zbyt surowo ocenia tę pracę, przykładając miarę bądź co bądź naukową do książki, która jest przedewszystkiem broszurą polityczną a więc z konieczności operuje pewnymi ogólnikami.

Na marginesie jednak swych rozważań Autor artykułów poczynił kilka uwag, które obudziły we mnie bardziej zasadnicze zastrzeżenia. Zastrzeżenia — muszę tu odrazu wyjaśnić — natury czysto religijnej. Nie chciałbym być jednak źle zrozumiany. Nie dlatego poruszam tę sprawę abym chciał oskarżać p. Pieńkowskiego o jakąś herezję, ale uważam, że pewne poglądy nie mieszczą się w ramach myśli chrześcijańskiej, względnie wywołać łatwo mogą poważne zamieszanie. Trzeba więc je czym prędzej wyjaśnić bo w naszym stosunku do katolicyzmu nie może być nawet śladu nieporozumienia. Jesteśmy ze sobą — polska idea narodowa i katolicyzm — zbyt silnie związani aby sobie na jakieś odchylenia pozwolić. Jeżeli uchylamy się od przyjęcia jakichkolwiek wzorów obcych z prawa czy z lewa, to przedewszystkiem dlatego, że każdy z tamtych wzorów rozwiązuje

swoją rzeczywistość poza lub wręcz na przekór katolicyzmowi, myśmy zaś wzrośli w siłę w spójni i w najściślejszym związku z tą jedyną prawdziwą religią. I tem związek musimy zachować.

Pierwszy zarzut, który postawiłbym odnosi się do rozumowania Szanownego Autora artykułu p. t.: „Nieodkryta synteza" dotyczącego istoty Reformacji. P. Pieńkowski uważa pogląd Mosdorfa, że brak reformy Kościoła wywołał Raformację za „beznadziejnie płytki". Przyznam się, że nie wiem dlaczego. Gdyby Szanowny Autor zwrócił trochę baczniejszą uwagę na kształtowanie się stosunków społecznych w okresie schyzmy kościelnej i burzy husyckiej nie przeczyłby — jak sądzę — w tym czasie potrzebie reformy Kościoła. Wołał o nią głosem swych najwartościowszych jednostek np. Gersona kanclerza uniwersytetu paryskiego czy też naszego Włodkiewica sobór konstancyjański, domagał się jej także w trybie bardzo kategorycznym synod kaliski (z 1420 r.) a zresztą sama herezja Wikleffa czy Husa powstały przedewszystkiem na gruncie nieprzeprowadzonej reformy. Na tym samym gruncie wyrosła także herezja Lutra.

Trudno się jednak zgodzić na twierdzenie p. Pieńkowskiego, że żadna reforma nie osiągnęłaby skutku, gdyż protestantyzm był manifestacją ducha germańskiego, której nic nie było w stanie stłumić. Przedewszystkiem nie mogła to być manifestacja ducha germańskiego gdyż rygoryzm i formalizm przy zatracie pierwiastków duchowych — tak charakterystyczne dla protestantyzmu — nie odpowiadają pierwotnym cechom spotykanym u dawniejszych Germanów, słynnych z zamiłowania do wolności i silnie zaznaczonego indywidualizmu. Była to więc infiltracja obca — prawdopodobnie — jak słusznie zaznacza prof. Koneczny — bizantyńska. Bizantynizm wciskał się od wieków do cesarstwa rzymskiego a najsilniej jego wpływ zarysowoje się — jak sądzę — w okresie panowania Henryka IV i jego walki z Grzegorzem VII.

Abstrahując jednak od tego czy w protenstantyźmie ujawnił się duch staro-germański czy też młodo-germański, sformowany na podłożu zetknięcia się cech germańskich z produktem cywilizacji bizantyńskiej, musimy jednak zaprotestować przeciwko podobnie determinującemu ujęciu historii. Nie chodzi o to co się kształtowało wcześniej: protestantyzm czy nowoczesny germanizm ale o to, że nie można, stojąc na stanowisku katolickim, uważać, że pewne cywilizacje wyrastają *a priori* jako wrogie Kościołowi. Katolicyzm właśnie dzięki swej umiejętności wprzęgania każdej cywilizacji w rydwan swych celów, nie znajduje naturalnych wrogów — wrogiem stać się może natomiast każdy naród i każda cywilizacja, która świadomie zaczyna z nim walczyć.

Reformacja była reakcją na pewien moment zastoju w Kościele. Na jej lep poszły te kraje germańskie, które zostały przesiąknięte bizantynizmem a więc przedewszystkiem Niemcy gdyż bizantynizm był — o czym zaraz powiem — tym jedynym prądem cywilizacyjnym, który najsłabiej tkwił w strukturze Kościoła. Poszły ale nie musiały pójść. Kościół rzymski w chwili swej aktywności potrafi ująć i do siebie zbliżyć nawet tak obce sobie cywilizacje, gdyż każda cywilizacja jest tworem człowieka a człowiek — nawet upadły — nie przestaje być członkiem Kościoła.

Drugim punktem zaczepienia w artykule p. Pieńkowskiego jest twierdzenie, że protestantyzm jest z natury swej żydowski, ponieważ opiera się na Starym Testamencie (tak przynajmniej rozumiem cytatę słów prof. Zielińskiego). Mam wrażenie, że Szanowny Autor pomieszał w tym wypadku skutek i przyczynę. Przedewszystkiem nie widzę podstawy do twierdzenia, dlaczego „duch germański oparty jest na bliższym mu duchowo świecie żydowskim"? Że tak jest stwierdzimy dopiero wówczas, gdy przyjmiemy za podstawę rozważań cytowaną już tezę prof. Konecznego o wpływie bizantynizmu na cesarstwo rzymskie i o przesączaniu się cywilizacji bizantyńskiej o charakterze azjatyckim do Europy. Zgodzimy się zaś chyba z tym wszyscy, że bizantynizm czerpał dla siebie soki z bliskiego wschodu a więc przedewszystkiem z Palestyny i tą drogą przedostał się judaizm, pod pokrywką bizantynizmu, do Niemiec.

Bizantynizm oparł się więc mocno o Stary Testament. Lecz katolicyzm rzymski, nawet wchłaniając przynależne sobie dzieła kultury rzymskiej czy greckiej, nie zerwał wcale ze swymi żydowskimi początkami. To musimy sobie jasno uświadomić, zaś ciekawych pozwolę sobie odesłać do znakomitego dzieła ks. arc. Teodorowicza „Od Jahwy do Mesjasza" w którym Dostojny Autor zbija gruntownie wszystkie opinie w tej materii prof. Zielińskiego, albo do książki ks. bisk. Faulhabera „Żydostwo i chrystianizm". Istnieje jednak zasadnicza różnica dlaczego z tego samego korzenia wyrosły dwa drzewa tak rozmaitej wartości. Objawienie spływało na ludzi etapami: naprzód w postaci wrodzonych człowiekowi praw o których wspomina św. Paweł w liście do Rzymian, potem za pośrednictwem Patryarchów i Proroków Starego Testamentu, wreszcie w osobie Jezusa Chrystusa. Każdy etap odpowiada pewnemu stopniowi rozwoju człowieka i każdy zna inny sposób działania. Podstawą obowiązującą w pierwszym etapie jest wewnętrzne poczucie, w drugim — obowiązek, w trzecim — miłość.

Zamknąć człowieka dzisiejszego z jego wyrobioną świadomością w najciaśniejsze choćby ramy kazuistycznie uschematyzowanych przepisów — to znaczy uwolnić go całkowicie od wszelkiej odpowiedzialności. A jednak to właśnie zrobili żydzi, odmawiając przyjęcia Prawdy, którą przyniósł Chrystus. Co u żydów było aktem woli, w środowisku bizantyjskim stało się metodą. Metodę tę z kolei wchłonął protestantyzm. Było to jakby zastosowanie dziecinnego rachunku sumienia do splamionego wielu grzechami sumienia dorosłego człowieka.

Protestantyzm nieświadomie, judaizm zaś współczesny celowo tkwią wciąż w drugim etapie praw i zakazów, które zawsze można obejść. Dlatego protestantyzm karmi się wciąż namiastką, jaką jest Stary Testament, natomiast żydzi sięgnęli do innego źródła, będącego kodeksem omijania Prawa Bożego — do Talmudu.

Ale to wszystko nie zmienia sprawy, że stary Testament jest punktem wyjścia dla Nowego i nie wolno katolikowi świadomie się tamtych ksiąg odrzekać. Tak być musiało, że prawdziwa wiara była naprzód religią jednego narodu, dla-

czego zaś tym narodem byli żydzi jest to tajemnicą przed którą możemy tylko skłonić głowę. Bez Starego Testamentu Nowy Testament byłby pozbawiony swego najważniejszego atrybutu: swej prawdziwości. Zresztą — przyznajmy i to jeszcze — Stary Testament jest najbardziej antysemicką książką i prawdziwą „białą księgą” narodu żydowskiego.

Poruszyłem sprawy — jak wspomniałem — nie dlatego aby atakować lub oskarżać Autora artykułu. Nie chcę być „inkwizytorem” za jakiego uważają mnie niektórzy od czasu ataku na Maritaina. Ale uważam, że obie sprawy domagały się wyjaśnienia. Być może ostatecznie nie różnimy się zbytnio z Autorem artykułu w ocenie zjawisk. Jednak forma w jaką ubrał swe myśli Szanowny Autor nasuwać może obawę, iż różnica zdań idzie bardzo daleko...

Na marginesie już tylko wspomnę, że zastrzeżenia musi także budzić uznanie dla „moralnego wzlotu” myśli Nietzschego czy Schopenhauera. Jest to wzlot ale tylko w granicach obszaru przyciągania ziemi. Zgodzę się więc raczej z Mosdorfem i z jego oceną społeczeństwa 19 wieku jako społeczeństwa zmechanizowanego. Jako społeczeństwa, które lubowało się w urabianiu typów. Marx stworzył „człowieka proletariatu”, Nietzsche — „mocnego człowieka”. Oddaleni od siebie całą amplitudą myśli byli w równym stopniu dalecy od Prawdy, która nie uznaje standardyzowanych typów, którym powierzone jest władanie ziemią.

Niewątpliwie Mosdorf pominął milczeniem niezmiernie ważny moment historii: tworzenie się nowoczesnych narodów. Okres tworzenia przypadający na XV i XVI w. zbiegł się z okresem działania Reformacji i wywołał rozmaite powikłania. Narody które wcześniej się skrystalizowały jak Francja (dzięki Joannie d'Arc) czy Polska (dzięki Jagiellonom) zdołały się oprzeć fali Reformacji. Rozbite wewnętrznie i aż do 19 w. nie znające świadomości narodowej Niemcy schematyczną religię Lutra przyjęły jako metodę całkującą. Tak jak dziś przyjmują rasizm.

Lublin JAN DOBRACZYŃSKI

LATA DZIECIĘCE J. U. NIEMCEWICZA

(NA PODSTAWIE NIEDRUKOWANYCH PAMIĘTNIKÓW)

„PIERWSZE wrażenia dzieciństwa zostawiają najgłębsze w umyśle ślady i najwięcej może przyczyniają się do złożenia tego, co później nazywamy charakterem człowieka” — te słowa Adama Czartoryskiego nabierają szczególniejszej słuszności właśnie w odniesieniu do Juliana Niemcewicza, który zresztą i sam tak wielkie znaczenie przypisywał swym dziecięcym wrażeniom i przeżyciom, w nich doszukiwał się najbardziej istotnych właściwości swej psychiki, uczuć i upodobań a nawet sądów o ludziach i rzeczach [1]).

Gdy przyszedł na świat dnia 16 lutego 1788 w Skokach w woj. Brzeskim, jako pierworodny syn Jadwigi z Suchodolskich i Marcelego Stanisława Kostki Niemcewicza, nie było szczególnych zjawisk na niebie, ni żadnych wielkich zdarzeń wstrząsających światem na ziemi.

Według doniesienia „Kuryera Polskiego” w ten sam dzień, Najjaśniejszy król Imć August III, który wyjechał z królewiczami i „różnymi kawalerami” na polowanie do puszczy starostwa Osieckiego 8 mil od stolicy, powrócił do pałacu swego ubiwszy 17 łosi, tyleż dzików i 3 daniele [2]).

Wszechwładny zaś królewski minister, a starosta warszawski graf Brühl sposobił się wtedy do podróży dyplomatycznej, której droga wiodła przez Gdańsk do Petersburga, a stamtąd do Szwecji, a cel był taki: pozyskać sprzymierzeńców przeciw Fryderykowi III pruskiemu zagrażającemu Szwecji.

W Polsce niewiele troszczono się o te zabiegi. Jednym tylko uchem słuchano nowin „z cudzych krajów” czy to o wojnie morskiej, toczącej się między Anglią, a Francją, czy o przymierzach ochronnych zawartych między Anglią, a Prusami, czy o zbrojeniach sąsiadów [3]).

Europejskie targi bliżej obchodziły króla Augusta zatroskanego o swój dziedziczny elektorat, zresztą nie sądzono, by chmury gromadzące się na dalekim horyzoncie wywołaby wkrótce burzę, i że jeszcze w końcu tego samego stulecia oblicze Europy zmieni się nie do poznania i niepodległa Rzeczpospolita Polska istnieć przestanie.

Według niezmiernie wówczas poczytnego Kalendarza Polskiego i ruskiego ułożonego przez Stanisława Duńczewskiego na Rok Pański 1758, W. Księstwo Litewskie było „do dnia 28 lipca wolne od złych tradycyi”, a konstelacje niebieskie znaku Jowisza zapowiadały „czas urodzajny y żyzny generalnie”.

Jak zwykle przeto w lutym obradowały deputackie sejmiki i odbywały się sądy assesorskie. Ojciec Juliana ni w jednych, ni w drugich udziału nie brał, zajęty całkowicie własnemi gospodarskiemi sprawami, jak zresztą większość jego przodków, wśród których nie było ludzi wybitnych, skoligaconych. Nazwisko Niemcewiczów miało do-

[1]) W Pamiętnikach czasów moich — ogłoszonych drukiem najpierw w Paryżu w 1848 r., a potem w Lipsku 1868 dwa rozdziały poświęcił Niemcewicz wspomnieniom swego dzieciństwa, pisał ten pamiętnik mając lat 76 gdy już pamięć nieraz zawodziła, nie mógł jej przyjść z pomocą żadnymi notatami, bo wszystko zostało w kraju. W kraju pozostała również pierwsza redakcja Pamiętników czasów moich, pisanych w 1823 r. Zachowało się tam więcej szczegółów biograficznych, które w małej tylko części zużytkował J. Dihm w pracy p. t. „Niemcewicz jako polityk i publicysta w czasie sejmu czteroletniego”. Kraków 1928 oraz w art. O dwóch redakcjach Pamiętników czasów moich, Ruch literacki 1931 r. 102 — 106. W niniejszym szkicu opieramy się głównie na rękopiśmiennej redakcji Pamiętników Rks. Czartoryskich nr. 5559 t. I oraz na Lipskiem wydaniu z 1863.

[2]) Kuryer Polski 1758 nr. VII.

[3]) Kolęda na rok 1758. Warszawa Schol. Piarum, podaje że gdy Polska miała według Konstytucji z 1717 r. regularnego wojska 24 tysiące, to Prusy przed rozpoczęciem wojny siedmioletniej posiadały 160 tysięcy wojska, Rosja dwakroć kilkadziesiąt tysięcy i kilkadziesiąt okrętów i galer wojennych.

piero szeroko zasłynąć po świecie dzięki Julianowi, który dawności rodu przydał tyle nowego splendoru.

Niemcewiczowie używali od dawna w województwie brzesko-litewskim wziętości i znaczenia, które nieskazitelność obyczajów, zasługi obywatelskie, a przy urządzonym majątku, uprzejma polska gościnność w naszym kraju zapewniają [4]).

Ich rodzinnym herbem była panna na niedźwiedziu „na pamiątkę jakiejś tego rodu bohaterki, która drapieżne umiała poskramiać zwierzęta", a przydomek Ursyn był niegdyś nazwiskiem owego legendarnego protoplasty co do brzegów Litwy ze słonecznej Italii z Palemonem przybył.

Mniejsza zresztą o mityczne początki familii, w każdym razie już na początku XVl w. Metryki Litewskie wspominają w dwóch Niemcewiczach, a potem nazwisko to spotyka się coraz częściej w województwach: brześciańskim, wileńskim i nowogródzkim [5]).

Ojciec Juliana, Marceli wychowanek szkół jezuickich, a później towarzysz z pod znaku pancernego brygady Petyhorskiej, szczycącej się tym, że służyła w niej tylko najstarsza szlachta, oznaczał się wielką pobożnością, zaszczepioną jeszcze w latach szkolnych przez jezuitów, która z wiekiem przerodziła się w ślepy fanatyzm i posłuszeństwo dla duchownych, co ci nieraz wykorzystywali, wreszcie w manję nawracania innowierców, zwłaszcza żydów, więc karczmarzy napotykanych po drodze, to znów żydowskich krawców i kramarzy przyjeżdżających do Skoków.

Marceli wcale się nie zrażał tym, że jego misyjne zapały nie znajdowały oddźwięku u starozakonnych i że przez wiele lat „mimo żwawych dysput ani jednego żyda nie nawrócił [6]).

Już lepiej mu się wiodło z chłopami — unitami skoro w Skokach cerkiew zniknęła [7]).

Julian bardzo piękną kartę w swych wspomnieniach poświęcił ojcu, pisząc o nim, że „był światłym, wielce do ojczyzny przywiązanym obywatelem. Ubolewał szczerze, nad nieszczęsnym nierządem i gnuśną obojętnością naszą, opłakiwał fatalne *liberum veto*, rozpuszczenie magnactwa i utraconą potęgę i sławę narodu polskiego [8]).

W tych słowach podyktowanych synowską miłością niema jednak ani cienia przesady, o patriotyźmie, o zrozumieniu konieczności reform państwowych najlepiej świadczą własnoręczne listy Marcelego Niemcewicza do króla [9]).

[4]) A. Czartoryski: Żywot J. U. Niemcewicza Berlin — Poznań 1860 s. 9.

[5]) Genealogię rodu Niemcewiczów podaje Żychliński Teodor: Złota księga szlachty polskiej. Poznań 1899. Rocz. XXI s. 142 i następnie K. Niesiecki wspomina o Niemcewiczach, pieczętujących się Rawiczem t. j. Różą. Herbarz polski. Lipsk 1841 1.VI 542 i następne.

[6]) J. U. Niemcewicz Pamiętniki. — s. 22.

[7]) Rks. Czart. 5505 s. 405.

[8]) Rks. Czart. nr. 5559 t. I s. 16.

[9]) W liście ze stycznia 1787 r. przypomina królowi udającemu się na spotkanie z carycą Katarzyną w Kaniowie, że gdy uda się znieść gwarancje rosyjskie, które na nowo zaprowadziły *liberum veto* „trzeba będzie zająć się niezwłocznie opisaniem nowej formy rządu i dziedzictwem tronu". Wyjątki z tego listu podał Br. Zaleski: Korespondencja krajowa Stanisława Augusta za lat 1784 — 1792. Poznań 1872 s. 65. W innych listach zwraca uwagę na podniesienie liczby wojska. Wojnę rosyjsko-austriacko-turecką poczytuje za najlepszy moment do przeprowadzenia reform Rks. Czart.

Niechętnie odnosząc się do Sasów, z prawdziwą radością wybierał na polach elekcyjnych „króla Piasta" — Poniatowskiego, mając nadzieję, że przyjdzie do wzmocnienia rządu. Interesował się ogromnie bieżącą polityką, bo zwyczajem ówczesnej majętniejszej szlachty posiadał nawet w stolicy swego własnego korespondenta, który miał obowiązek dwa razy na tydzień przesyłać „po pół arkuszy pisanych tajniejszych wiadomości" [10]), które czytywano oprócz gazet drukowanych.

Nie dość na tym. Z prawdziwym zamiłowaniem szperał Marceli Niemcewicz w archiwach koronnych w stolicy, to znów w aktach ziemskich i grodzkich, „czyniąc z nich wyciągi do dziejów naszych, napisał był nawet historię województwa brzeskiego, dowodząc, że dawniej do Korony należało" — wspomina później Julian w swych Pamiętnikach, przypisując głównie wpływowi ojca swe własne upodobanie do prac historycznych, i tę „miłość ojczyzny jej dobra, jej sławy", którą się zawsze odznaczał.

Niewątpliwie duch patriotyczny, szczere ubolewanie nad nieszczęściami spadającemi na Polskę, silnym echem odbijały się w sercu chłopięcym. Zwłaszcza wstrząsające wrażenie wywołał widok mdlejącej matki na wieść o porwaniu przez Repnina biskupa Sołtyka i innych senatorów.

Wrażenie było tem silniejsze, że matkę kochał nadewszystko. Do późnej starości pamiętał powinszowanie, którego się uczył na matczyne imieniny, a gdy kiedykolwiek o niej pisał to zawsze tylko temi słowy: „najpiękniejsza i najlepsza moja matka":

Sądząc z portretu pochodzącego z galerii rodzinnej w Skokach, to naprawdę pani Jadwiga Niemcewiczowa była rzadkiej urody. Po matce odziedziczył Julian duże wyraziste oczy, szlachetny owal twarzy, ów subtelny wdzięk, który sprawiał, że nieraz powierzano mu odgrywanie ról kobiecych w sztukach dawanych w teatrze korpusu kadetów.

Po matce wziął również wiele zalet towarzyskich, pani Niemcewiczowa lubiła bowiem towarzystwo, a chociaż dwór w Skokach był szczupły, uprzejma w nim atoli panowała gościnność i rzadki dzień bez gości [11]).

Z osób, które odwiedzały najczęściej Skoki zapamiętał sobie Julian opata wistyckiego infułata ks. Rogalińskiego, podstolego Fleminga, zawołanego gospodarza, na którym wzorował się Marceli Niemcewicz, dalej pana Szujskiego starostę niżyńskiego i Gabryela Bęklewskiego wielkiego jowialistę.

Nawzajem Niemcewiczowie odwiedzali we wszystkie święta opata wistyckiego i właśnie podczas jednych odwiedzin mały Julian spostrzegłszy na bocznym stoliku kalendarzyk polityczny, w czerwony safian oprawny i pozłacany, schował go do kieszeni. Gdy się sprawa wydała, tylko dzięki wstawiennictwu matki nie dostał rózeg, ale zato ojciec wygłosił odpowiednią perorę umyślnym odesłano kalendarzyk napowrót, a surowe napomnienie, tak mocno przejęło mnie trwogą, iż przysię-

[10]) Rks. Czart. nr. 5559 t. I s. 9.

[11]) Rks. Czart. nr. 5559 t. I s. 7.

gam że odtąd nic w życiu mojem nie ukradłem [12]). Drugie bodaj najdawniejsze wspomnienie Juliana odnosi się do narodzin brata Jana. Julian liczył wówczas cztery lata, gdy pytał zaciekawiony skąd się wzięło niemowlę, zaprowadzono go do ogrodu i „pokazując krzak gęsty irysowy i piwonie powiedziano, iż bocian przyniósł Jasia i między tymi kwiatami położył" [13]).

Przedziwny urok musiał mieć dla małego Juliana ten ogród, w którym nie było „ni krytych ulic, ni klombów angielskich", a nawet „niewiele drzew owocowych, jeno kilka kwater bukszpanem, Bożym drzewkiem, szałwią, rutą, irysami i innymi kwiatami i krzewami zasadzonych.

Z rozrzewnieniem po wielu, wielu latach wspomina go Niemcewicz, a wśród rozlicznych prac i zajęć, może przez kult dla tamtego ogrodu lat dziecinnych, który był świadkiem jego psot i zabaw, z największym zamiłowaniem poświęci się założeniu ogrodu w posiadłości swej żony na dalekiej amerykańskiej farmie Elisabethtown, a potem osiadłszy w Ursynowie znów wielką troskliwością otoczy ogród i będzie doń sprowadzać nieznane rzadkie krzewy nawet z Ameryki!

Kraków IRENA TUROWSKA

(Dok. nast.)

---

[12]) Czytając ten fragment pamiętnika, przypomina się mimowoli podobna historyjska zanotowana we wspomnieniach Fr. Karpińskiego, który ukradł scyzoryk. Pamiętniki Franciszka Karpińskiego zob. Dzieła wyd. Turowskiego Kraków 1862 t. II s. 1117 i nast.

[13]) Rks. Czart. 5559 t. I s. 4.

Z POWODU PEWNEJ KSIĄŻKI

ILEKROĆ spotykam na półkach księgarskich nową książkę dotyczącą jednego z naszych wielkich, lub największych, stawiam sobie pytanie, czy była potrzebną. To samo wrażenie towarzyszy mi, kiedy mam sposobność oglądania filmu z życia jakiejś wielkości. Tych filmów o różnym poziomie artystycznym, dotyczących Szuberta, Beethowena, czy też — Paderewskiego mieliśmy ostatnio poddostatkiem. Bo książka i film jeśli nie stoją na wysokości zadania mogą oddziaływać na nas wręcz odwrotnie, niż to było zamiarem autora. Pozmniejszać i trywializować postać — zamiast ją gloryfikować. I to obosieczne oddziaływanie jest bardzo niebezpieczne. Dlatego też biorąc do ręki jeszcze jedną książkę o Chopinie [1]) otwierałem ją z obawą. Bo zwłaszcza literatura szopenowska jest tak bogata, tak różnorodna w wyrazie, że trudno cośkolwiek wartościowego do niej dołożyć. Dzieła Liszta, Huneckera, Hoesicka, Szymanowskiego i tylu autorów zagranicznych stanowią już dzisiaj olbrzymią bibliotekę.

A jednak autor książki „Życie Chopina" wypełnił lukę, pomimo wszystko istniejącą. Dał wszystko, oprócz tego, co mówi tytuł. Gawędę o Chopinie, mało znane i nie wiele znaczące szczegóły biograficzne, przy osobistych, uczuciowych dygresjach, nie mających nic wspólnego, ani z życiem, ani z epoką Fryderyka. I w ten sposób, dodawszy do niedługich rozdziałów sporo białych kartek papieru powstała książka, o jakiej istotnie nie myślano.

Gdyby mógł ją przeczytać w wagonie ów Anglik, jadący (w rozdziale II-gim) do Żelazowej Woli, z pewnością zawróciłby z drogi. Pan starosta, w tymże rozdziale wspomniany, urósłby, czytając o sobie, conajmniej do rzędu bohatera...

Gawęda o Chopinie snuje się na przestrzeni siedmiu rozdziałów beztrosko z tą samą emfazą i pewnością siebie, z jaką u nas w Polsce rozmawia się w salonie o najpoważniejszych zagadnieniach, nie mając do nich fachowego przygotowania.

Mówi się więc niemal „*ex catedra*" o plastyce czy polityce, o Lasockim bądź Bandrowskim, wygłasza sądy o ich twórczości okraszone stekiem frazesów. I to jest właśnie najsmutniejsze, że w kraju naszym biorą się do rzeczy ludzie, w danej dziedzinie będący conajmniej laikami. Major czy kapitan administruje sprawami sztuki, inżynier hydraulik dyryguje orkiestrą, a doskonały dentysta pisuje poezje.

Wróćmy jednak do książki Kaden-Bandrowskiego o Chopinie. Czyta się ona naogół lekko, jeśli nie zatrzymamy się na ustępach o treści mniej więcej następującej: „Rzeczy skupione bywają obojętne, lub roztargnione, mogą trwać całe lata w zamyśleniu, ale kiedy powezmą nagle postanowienie, nic tego nie odmieni"... (str. 77).

„Szara godzina", „Kącik Frycka przy fortepianie" i jeszcze jakaś „oględna pora dozwolonych westchnień". „Tyle można, a więcej nie można, o więcej spytać mamę"... (str. 64). Dodajemy tu jeszcze wielce estetyczną „sylwetkę" Liszta: „Dziki czikos w sutannie, a zarazem rękodzielnik siedmiomilowy, tchnący papryką (!?), stara panna sentymentalna o kopytach Atylli, djabli ogon na klawiaturze, a w oczach łzy duchowne?" (str. 53). Takich „kwiatków" stylistycznych znajdujemy w książce Bandrowskiego o wiele więcej, niż może ich pomieścić recenzja. Konia z rzędem temu, kto cośkolwiek z tego zrozumiał!

Dla muzyka natomiast najwdzięczniejszym polem do oceny są rozdziały końcowe („Harmonia" i „Sztuka fortepianowa Chopina"). Tu można się dowiedzieć o gamach, znakach chromatycznych, pasażach i okręgu kwintowym mniej więcej tyle, ile podaje ś. p. M. M. Biernacki w swoicz niedocenianych należycie „Zasadach Muzyki". *Cui bono* ten popularny wykład teorii? Co to ma wspólnego z analizą spuścizny Szopenowskiej, o której w Europie już tyle napisano?

Książka, a raczej gawęda Kaden-Bandrowskiego o Chopinie wypełnia, jak to już powiedziałem, lukę w naszym piśmiennictwie pseudo-muzycznym, pamięci Fryderyka poświęconym. Nie mówi o niczem, chociaż mówi jednocześnie o wszystkiem. Nie uwłacza pamięci Chopina, ale i nie odsłania nam nowych o Nim badań. Spływają te frazesy po czytającym nieszkodliwie, jak woda deszczu wiosennego, lub jeśli kto woli, jak bezmelodyjna muzyka nowoczesna, rzekomo z inwencji szopenowskiej wyrosła.

ASPER

---

[1]) Juliusz Kaden-Bandrowski „Życie Chopina" 1938. Geb. i Wolff.

NA WIDOWNI

Maj miesiąc Marii. — Kult mariański probierczy dla naszej wiary. — Zło i zbawienie przez kobietę. — Nasza Pani i Królowa.

DOCZEKALIŚMY się wreszcie wiosny i maja, — a gdy przeciwstawność ideowa obu majowych świąt, jakbym powiedział herezji i wiary, jest aż zbyt jasna, aby o niej pisać, — zacznę od czego innego, że jest to przecież miesiąc Matki Boskiej, a naszej Królowej i Patronki.

Najpiękniejszy miesiąc roku *„Wunderschöne Monat Mai"* został Jej poświęcony. Ten właśnie kiedy wszystko się cieszy i weseli, kiedy wszystko żyje. Swiat cały pełen jest kontrastów, do grubych, czarnych pni drzewnych tuli się najdelikatniejsza zieloność. Królowa pól otula swym niebieskim płaszczem cały plon przyszły i błogosławi ludzkiej pracy. Maj, w którym nie przypada żadne z licznych świąt Matki Boskiej jest jednak jej miesiącem. I ten tylko miesiąc mógł być tak wywyższony.

Pierwszy i jedyny miesiąc naprawdę wiosenny. Poprzedzający maj okres zmartwychwstania to tylko przedwiośnie, to dopiero zwycięskie przezwyciężenie śmierci. A później z Zielonymi Świątkami przychodzi już lato, łaska Ducha i cała twarda męskość życia. Tu, tylko w jednym, jedynym prześlicznym maju mogło stanąć to triumfalne jego rozpoczęcie, to wszystko najbardziej i najszlachetniej kobiece — kult Tej, która zgniotła głowę wężowi i umożliwiła nam Zmartwychwstanie.

Kult dla naszej cywilizacji i wiary probierczy. Bardziej probierczy niż krzyż łaciński, który patronuje przecież i tym światom, co odeszły. Został się on i to nawet niecałkiem formalnie, na całej protestanckiej północy i w całej histerycznie sekciarskiej Ameryce. Towarzyszy zjudaizowanemu kalwinizmowi i jest dzisiaj o wiele szerszy niż prawdziwa nauka chrystusowa. Oczywiście, że to najważniejsze trudno było odrzucić. Ale odrzucono kult Matki Chrystusa i dziś śmiało widzimy, że naprawdę wielkie, łacińskie i rzymskie, bo katolickie jest tylko to — co nie uroniło ani jednej tajemnicy różańca i zachowało cały kult Niepokalanej; dotrzymało wiernie przedśmiertnego paktu podyktowanego z krzyża świętemu Janowi.

Religia i prawdy wiary są źródłem naszego życia. One wskazują nam drogi, którymi pewnie się kroczy. Pewnie w sensie — bynajmniej nie jakiejś łatwości czy bezpieczeństwa, ale słuszności celu. I odrzucenie tej wielkiej prawdy, że kiedyś przyszedł z nieba anioł i powiedział dziewicy, że jest „błogosławiona między niewiastami" i „łaski pełna" — to właściwie odrzucenie i krzyża. Cała nauka Chrystusa jest jaknajściślej z jego ziemskim życiem związana i z Jego niepokalaną Matką. Ona stoi u kolebki pierwszego cudu — ona mdleje pod krzyżem. A że Chrystus — Jej syn umiera za nas więc jest i matką naszą. „A od wieków nie słyszano..."

I trzeba się zastanowić nad ożywczą głębią tej prawdy. Oto w raju skuszona przez węża Ewa przyszła do Adama i dała mu owo jabłko — piękny owoc, źródło wszystkiego zła. To kobieta ciekawa i ambitna, bardziej zresztą za męża jak za siebie — sprawiła upadek. To ona była „silna" (cudzą wolą) i kierująca, a Adam bezwolnie poszedł za nią. I wąż wiedział gdzie atakować i że przez kobietę zejdzie na świat zło.

Prawda tak psychologicznie głęboka i tak oddająca, że tej pokusie mężczyzna się nigdy nie oprze i, że kobieta przede wszystkim przez słabość, próżność i lekkomyślną ciekawość jest zła— że odzwierciedla ją nie tylko biblia, ale i inny mit. Antyczna puszka Pandory głosi nam to samo. I tam kobieta ściągnęła na świat zło, ból i choroby. A mężczyzna był zawsze wobec niej słaby; — i wiarołomny pasterz dał owo złowróżbne jabłko, bogini, w której z biegiem czasu uosobiła się cała zła kobiecość.

Ale klechdy attyckie są tworem ludzkim i nie mają cech objawienia. Nie niosą z sobą niczego zbawczego. W nich kobieta to tylko siła zła, — to tylko Helena, która niszczy Troję, czy owa branka z Iliady o którą wynikają uparte spory, czy wreszcie samo piękno tryskające z morskiej piany. A jeśli kiedy nawet ma siłę zbawczą, to chyba tylko tak biernie i bezwolnie, jak Ifigenia, poświęcona przez ojca na ołtarzu.

Ale święta książka niesie inną naukę. Wprawdzie kobieta sprowadziła na świat zło i to ona wygnała człowieka z raju — ale i ona do niego go z powrotem wprowadza. Swoją ofiarą — ale inną niż Ifigenii i niepowtarzalnie doniosłą, choć również, i z natury swej bierną. Maria stała się służebnicą pańską, ukorzyła się przed Słowem i wypełniły się dni. Wiara, ufność i posłuszeństwo dzieweczki z Nazaretu zbawiły świat. I tak jak początkiem zła — było owo czynne choć niesamodzielne poprowadzenie, tak początkiem dobra bierne, choć heroiczne i świadome przez swoje — tak — poddanie się.

Kryje się tu cała metafizyka roli i zadań kobiety, i jej dróg istotnych i fałszywych, od których tyle zależy, skoro mężczyzna zawsze w jej ręku zostanie tym uległym i dającym się łatwo skusić Adamem. I także owo głębokie potwierdzenie prawdy życia, że ono z natury jest przede wszystkim kobiece i, że ową swoją, tyle okrzyczaną niższość i ciasność swych zadań, kobieta zawdzięcza właśnie i najbardziej temu, że metafizycznie, w pewnej hierarchii ściśle duchowej stoi o wiele bliżej i pewniej od mężczyzny do tego co jest odwieczne i prawdziwe. I może dlatego jest taka bierna, że ona w tym tkwi i temu z natury służy, a nie potrzebuje tego tak męczeńsko i uparcie szukać, jak jej towarzysz — Adam.

Więc nieskalana prawda życia została się tylko tam, gdzie się odmawia pozdrowienie anielskie, gdzie się chowa kult Matki Bożej i daje Jej pod małe stopy zmiażdżonego węża, półksiężyc i świat. Tam zostało całe zdrowie cywilizacji. I ogromną, największą chyba zasługą baroku jest, że wagę tego kultu zrozumiał, że przeczuł do czego tu doprowadzi protestancka herezja. Zachował dla najlepszego feminizmu nasz świat, ożywił i umocnił nie tak jeszcze w średniowieczu świadomy kult Niepokalanej. Wtedy właśnie powstały sodalicje, wtedy Węgry, Polska i Bawaria stały się krajami mariańskiemi, a wielki Murillo całe

swe życie i całą twórczość poświęcił oddaniu tej zbawczej a nieuchwytnej tajemnicy.

I tylko tam gdzie Matka Boska jest ciągle żywym i obecnym wzorem w Kościele, tryska źródło nadziei. Tylko tam w blasku tej nauki i cywilizacji, tej miłości i wiary, stosunek między mężczyzną i kobietą układa się twórczo i pięknie. Tylko tam nie jest ona siłą zła, a on słabym i buntującym się Adamem. I kamieniem probierczym zdrowia każdej cywilizacji jest ten właśnie stosunek, a on nieskazitelnie dobrym być nie może, gdy odrzuci się głęboką prawdę Zwiastowania.

I jeszcze na jeden szczegół chciałbym zwrócić uwagę. Oto pierwszy cud w Kanie Galilejskiej jest uczyniony na prośbę Matki Boskiej, z Jej namową. Oto obraz Jej władzy i równocześnie obraz tego, że Ona i w Ewangelii jest życiem. Chodzi przecież o wino, o gody weselne i zabawę — i Matka Boża chce by było wesoło, by biesiadnikom niczego nie zabrakło. Barok i to wyczuł — trzeba było uświęcić życie; nie stworzono też maryjskiego zakonu, ale zrzeszono świeckich, by po świecku żyli w Imię Niepokalanej. I to jest nasz obowiązek, obowiązek jasnogórskich ślubowań. Musimy być wierni naszej Pani i Królowej.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

ROZGRYWKI DLA ROZRYWKI

OPINIA publiczna w Polsce nie dała się mimo wszystko znieprawić w szkole polityki pomajowej. Patrząc na praktyki polityczne ludzi niedorastających do zadań dziejowych, odczuwa niesmak i krzywdę wyrządzoną narodowi. „Głos Narodu", organ chrześcijańskiej demokracji pisze:

„Kiedyś, kiedy to „dzisiaj" będziemy mieli już za sobą, będziemy się śmieli, przypominając sobie, jak to małe rzeczy traktowaliśmy na poziomie wielkich, jak nadmuchane purchawki robiły z siebie wielkości, jak głupie rozgrywki personalne braliśmy za „przesilenia" na równi prawie z trzęsieniami ziemi. Raz — awantura z gen. Żeligowskim, raz wykluczenie Budzyńskiego, raz wystąpienie Rutkowskiego, raz proces Cywińskiego. Aż strach pomyśleć, że gdy się Europa w naszych oczach zmienia od fundamentów, w Polsce „wielcy politycy" nie mają nic lepszego do roboty, jak albo straszyć się jakąś tajemniczą „Naprawą", albo urągać konserwatystom za ich grzechy z przed 50-ciu lat, albo wreszcie rzucać anatemy na młodego chłopca, który nazywa się Rutkowski".

„Warszawski Dziennik Narodowy" (nr. z 1.V) pisze z tego powodu w artykule wstępnym:

„Rzeczywiście dawno już nie panowała w Polsce, w kołach, udających sferę przodującą, taka płycizna życia ideowo-politycznego, taki brak odpowiedzialności za losy kraju, znajdującego się w obliczu olbrzymich przeobrażeń świata powojennego, jak w chwili obecnej. Wynika to ze zdemoralizowania pewnych kół politycznych, które nie umieją się zdobyć na prowadzenie polityki we właściwem znaczeniu tego wyrazu, nie umieją uporać się z wielkiemi i trudnemi problematami, jakie ona wysuwa, zastępują tę ważną funkcję życia narodu taktycznym manewrem i pasją „rozgrywek".

Ta przerażająca płycizna, która uwidacznia się z napuszonej, ciągnionej za włosy frazeologii politycznej pewnych kół naszego społeczeństwa, kół, niestety jeszcze wpływowych, udziela się szerszym warstwom inteligencji, szerząc wśród niej spustoszenie kultury politycznej.

Polska, którą czekają głębokie reformy, umożliwiające jej dotrzymanie kroku innym krajom w pochodzie dziejowym, karmiona jest od kilku lat przez „nadmuchane purchawki" — rozgrywkami personalnymi i polityką obrony żłobu, uważanego za „chleb dobrze zasłużonych". Dla maskowania tej bardzo poziomej gry, dorabia się do niej najbardziej „wzniosłe" teorie, tworzy się mniej lub bardziej fikcyjne organizacje i zmienia co pewien czas hasła i szyldy.

Ten stan rzeczy niebezpieczniejszy jest dla przyszłości narodu, niż najbardziej zacięta walka oparta na zasadach ideowych i mająca na celu wywołanie zmian istotnych w sytuacji państwa i narodu. Życie polityczne nie znosi pustki. Treści nie można zastąpić frazesem i symbolami, to też trwanie tego, co dziś stanowi najbardziej wi domą i dodajmy reklamowaną część tego życia pociąga za sobą inwazję wpływów organizacyj destrukcyjnych, ubierających swoje niszczycielskie dążenia w hasła walki o lepsze jutro".

NAUKA I LITERATURA

PAMIĘTNIKI LIMANOWSKIEGO [1)]

DZIWNEGO uczucia doznaję, biorąc do rąk „Pamiętniki" Limanowskiego, starca, który blisko wiek przeżył, który był łącznikiem między pokoleniami, który zwłaszcza książką swoją o „Stuletniej walce narodu polskiego o niepodległość" niemały wpływ wywarł na urobienie się uczuć patriotycznych młodzieży. Jak prawdziwy i rasowy pamiętnikarz nie będzie opisywał tego, co było, ale co sam widział i w czym sam brał udział. A los kazał mu być i działaczem i obserwatorem w środowiskach najrozmaitszych. Co prawda, powiedzieć trzeba szczerze, nie ma autor zbyt wielkiego talentu narracyjnego. Zdarzenia, osoby, kraje zbyt plastycznie nie występują, a co gorsza, krąg widzenia i rozległość horyzontów myślowych niezbyt też wielka. Na ogół pisane są pamiętniki oschle i dość bezbarwnie, brak autorowi werwy, chociaż same koleje życia starca aż się napraszały do żywego ujęcia zdarzeń i ludzi.

Boć jakaż rozmaitość środowisk, krajów, czasów i ludzi! Naprzód tedy dom rodzinny w Podgórzu, w Inflantach Polskich, gdzie ujrzał światło dzienne w r. 1835 (dnia 18 października). Już sama ta dawna prowincja Państwa Polskiego zdolna przykuć naszą uwagę ze względu na rolę żywiołu polskiego w jej życiu kulturalnym. A więc dwory i dworki szlacheckie, magnackie pałace, wieś i miasto, żywe tradycje dawnych polskich czasów. Widzimy tu stosunki rodzinne autora, matkę, braci (Lucjan, Józef), z których on sam pod względem przekonań najdalej doszedł, gdyż aż do socjalizmu, podczas gdy np. Józef cofnął się ku poglądom inteligencji szlacheckiej Prusa i Sienkiewicza.

Mogąc studiować w gimnazjum np. w Witebsku wyjeżdża z bratem do Moskwy na 11-letni pobyt, wliczając i studia uniwersyteckie. Szczegółowo autor przedstawia stosunki w gimnazjum moskiewskim, poczynając od dyrektora Pogorzelskiego a na profesorach i uczniach kończąc. Matka

[1)] Bolesław Limanowski: Pamiętniki (1835—1870). Warszawa 1937. Tow. Wyd. „Rój". Drukarnia „Linolit". Str. 499 + 16 ilustr.

wyszła powtórnie za mąż za Sawickiego, który właśnie w Moskwie zamieszkał. W uniwersytecie moskiewskim studiuje (1854—1858) filozofię, chemię, medycynę, a nadto oddaje się lekturze pism Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Dla ukończenia i uzupełnienia studiów (1858—1860) wyjeżdża do Dorpatu. Tu spotkał się z dwiema organizacjami polskimi. z „Ogółem" i „Szczegółem". Polacy tworzyli korporację podobną do niemieckiej. „Szczegółowcy" sprzyjali Moskalom. Do „Ogółu" należeli wszyscy kongresowiacy. Prócz medycyny studiuje także filozofię. Przyjeżdża też do stron rodzinnych, do Podgórza, zajmuje się gospodarstwem, leczy chłopów i głęboko dolą ich się przejmuje. Na krótko wyjeżdża do Leodium, Paryża (1860—1861), aby następnie przybyć do Wilna, zabawić jakiś czas w Kownie. We Francji wejdzie w stosunki i podda się wpływom Mierosławskiego oraz reprezentantów dawnego pokolenia emigracyjnego jak Zaleski, Różycki.

W kraju spotka się z manifestacjami (Wilno, maj — sierpień 1861). W jednej z manifestacyj zorganizowanych przez Jodkę, mianowicie w odśpiewaniu w kościele pieśni patriotycznej bierze udział, za co spotyka go wygnanie. Był to rok przełomowy w jego życiu. Rozpoczynają się lata tułaczki, a więc idzie naprzód etapem do Archangielska, Mezenia (sierpień 1861 — maj 1862). Ma sposobność poznać kraj preczorski, Polaków i Moskali we wzajemnym do siebie stosunku. Pisze naukowe artykuły m. in. do „Wiadomości Guberni Archang", a nadto wysyła korespondencję do „Gazety Polskiej" (podówczas J. I. Kraszewskiego). W Archangielsku przepędza lata 1862—1866. Usiłuje uciec, ale zamiar się nie udaje; wysłany do Woroneża i Pawłowska spotyka mnóstwo Polaków, z których dużo opisał, zajmuje się udzielaniem korepetycyj i znów naukowe pisze artykuły. Za wilczym paszportem przybywa do Warszawy (1867 — 1869), odwiedza Wilno umęczone, pracuje wśród trudnych niesłychanie warunków na życie, także korepetycjami. Zaznajamia się z takimi ludźmi jak Stosław Łaguna, Piotr Chmielowski, Jul. Ochorowicz. Staje się współpracownikiem „Kuriera Warszawskiego", „Biblioteki Warszawskiej", „Przeglądu Tygodniowego", pisze nie tylko zarysy etnograficzne i geograficzne, ale próbuje i beletrystyki (pod pseud. Janka Płakonia). Odwiedza strony rodzinne, wreszcie wyjeżdża za granicę (1869—1871).

Pamiętniki te częściowo były już ogłaszane w czasach rozmaitych, wreszcie między 1912 a 1918 ulegając próbom i namowom napisał całość, z której część obecnie wydał dr. A. Próchnik. Nierównie ciekawe będą dalsze lata a zwłaszcza prace naukowe i tułaczka sędziwego autora. Z obecnie wydanych pamiętników wynurza się przed nami oblicze człowieka uczciwego, szlachetnego i czystego, gorącego patrioty i przyjaciela ludu. Jest on wyrazem tężyzny polskiej na dalekich Kresach pełnocno-wschodnich, objawem żywotności kultury polskiej; która nawet w czasach szalonego ucisku i rusyfikacji szeroko promieniowała. Wystarczy powiedzieć, że takie miasta jak Dynaburg bardzo dużo posiadały elementu polskiego i do polskiej kultury lgnęły.

Grodzisk Wielkopolski JAN ŚWIERZOWICZ

Z TEATRU

OSTATNIE WYDARZENIA

„DAR PORANKA". — JUBILEUSZ RÓŻYCKIEGO. — „JASTRZĄB WŚRÓD GOŁĘBI".

ANTONI Różycki obchodzi 30-lecie pracy scenicznej. Skończył Szkołę Dramatyczną w Warszawie. Karierę rozpoczął od Teatru Małego Gawalewicza. Przez 2 sezony grał u Solskiego w Krakowie, następnie, również w ciągu dwu lat, w teatrze Zelwerowicza w Łodzi. Później wrócił do Warszawy i pracował w różnych teatrach (Teatr Mały, teatry rządowe, miejskie, Teatr Polski), od pięciu lat występuje na scenach T. K. K. T. Dyr. E. Świerczewski oblicza repertuar Różyckiego („Teatr", R. V Nr. 7 na dwieście ról, odegranych w ciągu 8 tys. wieczorów. Jest to niewątpliwie jeden z najwybitniejszych aktorów polskich. Jubileusz dzisiejszy obchodzi w pełni sił i wdzięku niezrównanego amanta-dżentelmena.

*

„Dar poranka" G. Forzano był już raz wystawiany w Teatrze Nowym w sezonie 1925/26. Rolę Hr. Karola de Flarvi grał tak samo, jak dziś, Różycki. Komedia jest lekka, tchnie naogół beztroskim powabem romansu uroczych partnerów, romansu, który ostatecznie dobrze się i szlachetnie kończy. Pole do popisu dla czołowej pary jest tu olbrzymie. Różycki dał wspaniałą kreację, włożył w rolę zadziwiające bogactwo mimiki, gestu, a przedewszystkiem wspaniałego męskiego głosu. Lucyna Bianchi, czyli Karolina Lubieńska dorównywa najzupełniej partnerowi poziomem wysoce inteligentnej i przemiłej gry, tak w zespole, jak i w scenach, które wypełnia całkowicie swą osobą.

Tło i oprawę tej pary stanowią głównie właściciele apteki, małżonkowie Henryka i Hannibal, w obsadzie T. Bohdańskiej i Cz. Skoniecznego, któremu należy się szczególne uznanie za b. dobrą, konsekwentną kreację.

Sztukę wyreżyserował Antoni Cwojdziński. Dekoracje Stan. Jarockiego.

*

Sztuka J. Adolfa Hertza, wystawiona poraz pierwszy, „Jastrząb wśród gołębi", ma podłoże społeczne, a tonację nieomal melodramatyczną. Jej bohater, inż. Wardęski, jest jeszcze jedną w dziejach dramatu koncepcją mocnego człowieka. Tytuł utworu jednak nie dość dokładnie maluje pozycję Wardęskiego w jego bliższym środowisku. Mieszkańcom rzekomego gołębnika wprędce zakrzywiają się dzioby i rosną pazury. Rzeczy przybrały taki obrót, zapewne mimo woli autora, że ów „jastrząb", początkowo brutalny pan domu, nietaktowny syn, wyrachowany i bezwzględny kapitalista — w drugiej części sztuki budzi coraz mniej odrazy, zaczyna nam poprostu sympatycznieć. Otaczające go „gołębie" wcale nie tworzą sobą kontrastu szlachetności i wielkoduszności. Stary sługa przypomina mu co jakiś czas, że ma zawarowane 30 tys. złotych, albo dożywocie w pałacu. Przyjaciel nadużywa gościnności i, jak by nie było, bałamuci mu żonę. Żona przestaje go kochać, porzuca go i oświadcza, że sercem należy do tegoż właśnie rzeczonego jego b. przyjaciela. Brat strzela do niego z tyłu z pistoletu. Matka grozi mu odebraniem generalnej plenipotencji do zarządzania fabryką. Biedny jastrząb ani zipnąć nie może, tak jest oplątany nienawiścią gołębi, nie przebierających w środkach. On coprawda także nie liczy się ani ze słowami, ani z miłością bliźniego. Ale charakterystyka jego jest nie dość spoista; dziwią nas jego brutalne wybryki. Trudno uwierzyć, aby tak chwilami wytworny, tak wybitnie inteligentny, tak bajecznie, aż do lodowatości opanowany dyrektor wielkiej fabryki — rzucał się w dzikim szale na pokojówkę i wytrząsał z niej ducha, albo oświadczał żonie, żeby ją skłonić do miłości, że ją sobie kupił, że wszystko na na niej od stóp do głów jest za jego pieniądze. Stanowczo tego rodzaju maniery przypominają nam pewne momenty „Ziemi obiecanej" Reymonta i nie możemy uwierzyć, aby tak postępował syn staropolskiej rodziny o tradycjach arystokratycznych. Jego cynizm, jego chamstwo nie są umotywowane. Czujemy w tej koncepcji jakąś obcość.

Obiektywne napięcie starć i konfliktów jest w komedii niezbyt mocne; to też nie przenika nas powiew tragizmu losów ludzkich, jeno wzdrygamy się, obserwując niesamowite

wybryki osób na scenie. Najlepsze są akty III i IV, kiedy akcja nabiera tempa i siły. Sztuce należy rokować powodzenie, przedewszystkiem z powodu Z. Sawana, który jako inż. Wardęski gra naogół wprost znakomicie. M. Malicka jest Hanią Smólską. Przydałoby się, aby ta postać w samej koncepcji literackiej była bardziej plastyczna. Z tego, co jest, Malicka stworzyła rolę, pełną swoistego powabu, czarując urodą, dykcją, melodyjnością głosu.

Reżyserował Z. Sawan. Dekoracje Stan. Kurmana.

T. D.

Z SALI ODCZYTOWEJ

ODSIECZ WIEDEŃSKA

W ŚWIETLE HISTORII

STARANIEM zrzeszenia pisarzy katolickich odbył się w sali odczytowej Domu Katolickiego przy ulicy Nowogrodzkiej wieczór dyskusyjny, podczas którego zostały wygłoszone dwa źródłowe, niezmiernie interesujące referaty. Prof. St. Stroński mówił o sytuacji politycznej w Polsce bezpośrednio przed wyprawą wiedeńską.

...Tuż po „potopie szwedzkim" w r. 1674 Jan Sobieski wstąpił na tron, jako Jan III, na chwałę narodu i wielkie szczęście ojczyzny, co w tym przełomowym okresie dziejów lwa się domagała w królewskiej koronie i z mieczem w prawicy. W jakiem położeniu się naówczas znaleźliśmy, miejmy miarę z tego, że z końcem r. 1653 Szwecja, Kurfürst brandenburski, Rakoczy i Jerzy Chmielnicki postanowili dokonać wspólnie rozbioru Rzeczypospolitej, która zdołała jeszcze tym razem niebezpieczeństwo odeprzeć, ale nie odwróciła na długo grozy, wiszącej jak cień gradowej chmury nad łanem dojrzałej pszenicy. Ponad wszystko zaś widmo tureckiego półksiężyca, zagrażającego coraz wyraźniej na wschodzie i południu Europy, poczęło mącić tę resztę poczucia pewności, jaka w okresie ciągłych wojen zagościła jeszcze w duszach gospodarującej na ojcowskim zagonie szlachty.

W r. 1672 zostaje zabrany Kamieniec i haniebnym pokojem w Buczaczu Podole wraz z Ukrainą dostaje się Turcji. Zwycięstwo pod Chocimem nie naprawiło tego. Jednakże już wtedy istniała świadomość, że to nie Turcja nas powali (znacznie wcześniej, na Sejmie w r. 1651 Jan Kazimierz mówił, że Moskwa ograbi nas na podstawie wspólnoty językowej, a Brandeburgia i Austria dopomogą). Na takie przekonanie u ogółu miała oczywiście wpływ sugestia rezydenta francuskiego. To też pamiętano dobrze, że trzeba się umacniać nietylko od Wschodu ale i przeciw Prusom w szczególności. Porwanie Kalksteina w biały dzień ze środka Warszawy, z Leszna — dokonane przez najętych służalców pruskich, i storturowanie przedśmiertne nieszczęsnego mówiły o nieprzebieraniu w środkach w tej walce na śmierć i życie. W społeczeństwie polskiem żywo troskano się losem zarówno Prus Wschodnich jak i Śląska, gnębionych oddawna przez wrażą moc.

W r. 1675 Jan III zawarł w Jaworowie tajny układ z posłem francuskim o pomoc przeciw Prusom i Austrii, wzamian za co Polska obiecuje starać się o pokój z Turcją. Układ był tajny nominalnie, — ale już ten początek wielkiej i samodzielnej polityki królewskiej wywołał opór na sejmach w r. 76 i 77. Sobieski jednak jedzie na osiem miesięcy do Gdańska i tam zawiera układ ze Szwecją o wspólną wyprawę na Prusy Wschodnie. Na próżno jednak wystawił własne, nie koronne wojska, do tego hazardu przeznaczone, próżno czekał — sprzymierzeniec zawiódł. Na sejmie Grodzieńskim w r. 1778/9 rzeczona polityka Jana III-go ostatecznie upadła. Dążenie sprzymierzonej Francji, pragnącej mieć jakąś gwarancję stałości i pewności linii politycznej Rzeczypospolitej, do wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce i ukrócenia szlachty, było nad wyraz niepopularne.

A więc skoro nie Francja to Habsburgowie, jedyny możliwy sojusznik przeciw Turcji. W r. 1683 (1 kwietnia) staje przymierze na sejmie: kredyty od Austrii, skreślenie długów z czasów Jana Kazimierza, wojskowy sojusz odporny, ale i odsiecz w razie potrzeby, nietylko dywersja na tyłach albo z flanki.

Gdy się zdarzyła ta potrzeba, tylko Prusaków tam nie było pod Wiedniem, choć dziś na różne sposoby usiłują oni cały splendor dla siebie zabrać.

Kierowała Janem III-m w jego przedsięwzięciu myśl Żółkiewskiego, szukania wroga na obcem terytorium.

Pisał też do Sieniawskiego, że lepiej walczyć choćby na oczach całego świata, ale na cudzej ziemi, niż w Polsce, gdzie i los wojny w razie przegranej niepewny i koszty się, rzecz naturalna ponosi.

A rozumiał jednocześnie, że na ziemiach tak bliskich nam i sąsiadujących (dzisiejsza nieomal Czechosłowacja) nie może stanąć pewną nogą wróg Polski najzawziętszy. (Poszczególne etapy tej rozgrywki nasuwają analogię do chwili dzisiejszej...).

W r. 1686 Sobieski, z podziwu godnym sytuacyjnym realizmem politycznym, zawiera tajne układy z Francją przeciw Prusom i Austrii, w celu odzyskania Prus Wschodnich i Śląska, w myśl swojej naczelnej idei imperialnej. Znowóż sprzeciwy, tym razem decydujące, których wyrazem między innemi broszura niemiecka *„Der nach französischen Pfeifen tanzende Pollack"*, ostrzegająca Polskę... przed Francją (podobnie do niektórych głosów współczesnych nam).

Tu kres wielkiej polityki Jana III-go.

Generał Kukiel naszkicował sylwetkę Sobieskiego — żołnierza i wodza. Współcześni sławili Sobieskiego, że „był Turkom piorunem", — tak szybkim w nagłym uderzeniu na wroga. Szczycono się nim za chwałę, jaką dał narodowi, słusznie postawiono wśród największych wodzów historii. Zresztą nietylko dzieje ale i teoria wojen wyznacza mu czołowe miejsce, a jego rozgrywki wojenne uważa za wzorowe ze wszechmiar, poszczególne walki za wzorowe. Próby t. zw. rewizji jak dotychczas były bezpłodne, historycy starego i najmłodszego pokolenia ukazują w coraz pełniejszem świetle glorię króla i wodza.

Narodziny wodza to moment poczucia się w roli i misji mściciela. Myśl o tem towarzyszy od wczesnych lat Sobieskiemu.

Czytamy w jego pamiętnikach, że pioruny biły, gdy na świat przychodził, aż krawiec domowy ogłuchł od zbytniego huku. Tatarowie też naonczas pod zamek oleski dopadli, których przesławny Stefan Chmielecki rozgromił. Wpływ matki w duchu spartańskim, wedle słynnej formuły rycerskiej „z nią albo na niej", utwierdzał go jeszcze w posłannictwie. Młodzieńcza kontemplacja na grobie Żółkiewskiego znaczną też zapewne odegrała rolę.

Drugi etap formujących psychikę przeżyć to rana od Tatara pod Beresteczkiem i wieść o śmierci brata Marka z tatarskiej również ręki.

Już w r. 1655 ludzie odlegli nieraz wiedzą, że ten pułkownik królewski i starosta jaworowski stanie się jedynym mścicielem Cecory — W książeczce do nabożeństwa „Drogi cierniowe" z tych lat „winszowano" sobie Jana Sobieskiego jako „prawą kolumnę dla wsparcia ojczyzny". Atmosfera ta, powszechnej nadziei i proroczych znaków idzie wciąż za nim. Tak było ze słynną tarczą wróżebną, ofiarowaną mu w darze, na której przedstawiono zwycięstwo Konstantyna nad Turkami, których i on miał rozgromić.

Czuł w sobie powołanie, któremu dzielnie sekundowały krewkość i wybuchowość kresowa. Mówił przezeń instynkt narodu.

O Sobieskim trzeba powiedzieć, że był zawodowym wojskowym (17 lat pracował na buławę polną, 20 na wielką)

podobnie jak Władysław IV i Jan Kazimierz (pierwszy z nich wprowadził wojsko cudzoziemskiego autoramentu, drugi je wydoskonalił: zorganizował dragonię, piechotę i artylerię oraz współdziałanie broni. Ci dwaj znakomici wodzowie w koronach zawodzili jednak, gdy szło o użycie jazdy). Dopiero Jan III stopił w jedno: rodzimą, polską i wschodnią, natarczywość, szybką ruchliwość, zwinność i lotność w natarciu i pościgu ze sztuką wojenną Zachodu, zwłaszcza niderlandzką i szwedzką. Szybszy był w pościgu za Tatary od Chmieleckiego, bardziej piorunowy w uderzeniu niż Czarniecki. Znał się na wszystkich broniach i każdą umiał dowodzić: pancernymi i usarią (a pod Chocimem osobiście z szablą w dłoni prowadził do szturmu piechotę). Za jego czasów podstawą zwycięstw i niezwyciężoności polskiej taktyki stała się właśnie szczęśliwa synteza sztuki wojennej wschodu i zachodu, dokonana geniuszem wodza.

W r. 1667 zwycięstwo nad Doroszenką pod Podhajcami, pierwszy asumpt do sławy. Wspaniała kombinacja z punktu widzenia taktyki i współdziałania broni, głęboka dywersja strategiczna oddziałów kozackich, przesłona całej połaci kraju przez uzbrojonych *ad hoc* chłopów. Śmiałe wyprawy za czmychającymi z jasyrem i bogatym łupem Tatarami piorunową metodą Czarnieckiego, „uciekali złodzieje, rzucając po drodze wszystko w popłochu, co zagrabili, na ostatek koszule *et les caleçons* — a to dla letkości".

W sztuce rozpraszania czambułów, wlokących jasyr wzbił się Sobieski ponad dotychczasowych pogromców Tatarów.

Chocim... — między dwa potężne oddziały nieprzyjacielskie z kierunkiem na obóz warowny turecki wbił się klin polski — śmiałość w pomyśle i sprawność w rozstrzygnięciu.

Przychodzą inne kampanie hetmańskie i dalej królewskie: żórawińska a potem odwety od Turka.

Pod Wiedeń idzie Sobieski, aby nie płacić strat i klęsk za bezczynność wobec groźby wtargnięcia wojsk wezyrskich na terytorium polskie. Jeśli bowiem Wiedeń padnie, wrychle i Kraków będzie zagrożony. A rozstrzygający cios należy zadać w samem sercu wroga. Koncentracja stałych wojsk naszych, jak zwykle dla operacyj na kresach południowo-wschodnich, pod Lwowem, a potem stopniowa mobilizacja pod osłoną zebranej już siły. Wskazany pośpiech w marszu i szybka decyzja polityczna: jeżeli Wiedeń upadnie — dla nas to klęska; jeśli zwycięży na własną rękę, stanie osobny pokój, a droga przez Węgry do Polski nadal dla Turków stać będzie otworem.

Motywem decyzji, jak widzimy, jest więc u króla nie przynaglenie miłosne i podekscytowanie przez Marysieńkę, ale twardy mus w obliczu historii.

Koncentracja dokonała się sprawnie i rychło, mobilizacja zgromadziła znaczne zastępy, marsz zbliżania był szybki. Gdy Jan Kazimierz z pod Sokala do Beresteczka szedł z szybkością 15 km. dziennie, to Sobieski wzmógł liczbę dziennego marszu do 26 km, a przecież wiódł ze sobą 70,000 wojska.

Tymczasem z Wiednia błagano, aby Jan III raczej armię zostawił po drodze, choćby się miała i spóźnić, a sam rychle przybywał dla objęcia naczelnego dowództwa. Tak wielką była jego sława pierwszego wodza w Europie.

Trudności przeprawy przez Dunaj i terenowe zwłaszcza przez las wiedeński były ogromne, przecież zostały pokonane z postępem ogromnym w stosunku do beresteckiej kampanii. Dopomagało uniesienie chrześcijańskie uczestników wyprawy.

Król objął dowództwo całości i bitwę osobiście prowadził. Jak donosi przedstawiciel elektora, „król był wszędzie i król był wszystkim". Operacje były mistrzowskie; tuż po wyjściu z trudnego terenu staje do sprawy 20.000 jazdy w szyku tak gładkim, że podziw to budzi w oczach wszystkich.

W zwycięstwie święcił triumf testament Żółkiewskiego. Chęć króla, aby „pogaństwo w domu nawiedzić", sprzeczna np. z austriacką strategią wyczerpania, nowa była i oryginalna w swej młodej energii. Sobieski znacznie wyprzedzał epokę. Szkoda, że zawiedli go swoi i zawiść zatruła ostatki jego życia.

Położył on także wielkie zasługi około stworzenia wojska stałego, kadrowego, podniesienia jego liczby oraz urządzenia stałych podstaw finansowych, opartych dotychczas całkiem na szlacheckiej dobrowolności. Była w tem rzadka lekcja energii.

Na zakończenie wieczoru gospodarz, świetny poeta St. Miłaszewski w uskrzydlonych słowach wyzwolił dławiące zebranych wzruszenie, zrodzone ze wspomnień o wielkim królu — prawdziwym Wodzu Narodu.

St. J.

FILM

CAPITOL: „Wrzos", reż. J. Gardan.

Ze względu na znaczenie wychowawcze powieści Rodziewiczówy, filmowanie utworów zasłużonej pisarki należy uważać za wskazane. Film nie często sięga wyżyn sztuki, jeśli jest codzienną rozrywką szerokich mas, niech je karmi strawą przynajmniej w sensie moralnym pożywną. Przytem, mam wrażenie, dzieła Rodziewiczówny, oglądane na ekranie, powinny się podobać. Świadczy o tem powodzenie „Wrzosu". Przyczyniła się do tego powodzenia i sprawna reżyseria Gardana. Nie widzimy tu nadzwyczajności, jakichś, specjalnie pięknych filmowo, pomysłów, ale tok akcji, dzięki umiejętnemu montażowi, biegnie gładko, niema w nim luk, ani załamań. Ta płynność filmowej (t. zn. plastycznej) narracji nie jest bynajmniej w filmach krajowych zjawiskiem częstym, jak również tempo i wytrzymanie tego tempa do końca.

Powyższe zalety pozwalają nam zaliczyć utwór Gardana do uczciwie wykonanych dzieł popularnych, przeznaczonych dla najszerszych mas. Natomiast aktorem Gardan nie zawsze trafnie umiał się posłużyć. Jeśli chodzi o typ urody, powierzenie pani Angel-Engelównie roli bohaterki utworu było właściwe, co do jej gry mamy jednak pewne zastrzeżenia: zamało swobody i naturalności. Brodniewicz, na ekranie aktor raczej irytujący, tu był na miejscu — irytował celowo. Znakomitą aktorkę Stanisławę Wysocką nietrafnie obsadzono, a młoda aktoreczka Lidia Wysocka, trzepała tekst jak dobrze wyuczona papużka. Ojcami byli Junosza-Stępowski i Zelwerowicz, pani Ćwiklińska dawała nam do poznania, że jest żydówką, Leszek Pośpiełowski i Grabowski reprezentowali humor, szarżując w miarę potrzeby. Najlepiej, mojem zdaniem, była pojęta pod względem filmowym, drobna rola lokajczuka, niestety — nazwiska aktora nie pamiętam.

Fotografia niezła, ale niepomysłowa; pewne nadużycie zdjęć z tej samej perspektywy.

KANDYD

PARADOKSY NASZEGO ŻYCIA

WIELKOPOLSKA była dzielnicą najbardziej gospodarczo rozwiniętą. Kultura techniczna wsi wysoko postawiona, spółdzielczość rolna była w stanie kwitnącym, handel po miastach dobrze zorganizowany, przemysł wysoko stojący. To też prosperacja ekonomiczna dzielnicy wielkopolskiej była najwyższa, a fakt ów ma jeszcze szczególną wymowę i przez to, że życie gospodarcze tej dzielnicy stanęło tak wysoko wyłącznie niemal siłami polskiemi, zupełnie bez udziału żydów.

Obecnie Wielkopolska znajduje się w upadku gospodarczym. Zaczęło się od ruiny gospodarstw chłopskich. Sprawa zadłużenia rolniczego, które nad chłopem wielkopolskim wisi jak miecz Damoklesa, domaga się uregulowania. Sytuacja jest taka, że chłop pracuje jeszcze na roli, ale nie wie do kogo ta ziemia będzie należała jutro. W takich warunkach prowadzi więc z konieczności gospodarkę rabunkową, a przy tem znajduje się w opłakanych warunkach. Żyje, aby przeżyć. Warsztaty rolne, pracujące przez czas dłuższy w takich warunkach stwarzają depresję w rolnictwie, co odbija się ujemnie w sensie gospodarczym, nie tylko na życiu jednej dzielnicy, ale na całym kraju. Chłop wielkopolski imponujący do niedawna swoim stanem gospodarki, swoją zamożnością i kulturą innym dzielnicom Polski, teraz znajduje się w stanie chronicznego niedożywiania, co pociąga opłakane skutki biologiczne dla młodszego pokolenia, a odezwie się też i pod względem demograficznym. Nie mówiąc już o skutkach socjalnej natury, a przecie i te są nie mało ważne, bo przyczyniają się do dzikiej radykalizacji, zatrzymajmy się na gruncie tylko ekonomicznym. Nędza wsi wygania chłopa wielkopolskiego do miasteczek, które znajdują się w równie katastrofalnej sytuacji. Kryzys wsi wielkopolskiej przyczynia się do nędzy w miasteczkach i miastach. Następuje ogólne zubożenie i pogorszenie warunków bytowania dzielnicy doniedawna najwyżej pod względem gospodarczym stojącej. Przy tem zauważa się dwa charakterystyczne fakty: próby osadnictwa żydów z dawnej Kongresówki i Galicji, co jest objawem zgoła szkodliwym oraz ekspansję wielkopolaków do innych dzielnic, przeważnie do dawnej Kongresówki i na Kresy Wschodnie.

Ten ostatni objaw jest bardzo pomyślny i należy go ze wszechmiar popierać. Wielkopolanie bowiem, jako element rzutki, przedsiębiorczy, ruchliwy, energiczny przyczyniają się do unarodowienia handlu oraz do krzewienia rzemiosła polskiego, co jest nie mniej konieczne.

Głośny jest już w całej Polsce COP. W okręgu gospodarczo całkowicie zaniedbanym a rolniczo zupełnie nawet upośledzonym powstaje w tempie imponującem ośrodek przemysłowy wielkiego znaczenia. Na razie państwo trzyma prym nie tylko w akcji założycielskiej, lecz i w budowaniu fabryk. Pod Sandomierzem np. powstała „Stalowa Wola", w Dębicy założono fabrykę kauczuku syntetycznego ze spirytusu, fabrykę opon samochodowych. W Rzeszowie zbudowano fabrykę silników i prezycyjnych obrabiarek. W Niedomicach fabrykę celulozy i t. d. COP rośnie, jak na drożdżach. Ten centralny okrąg powstał również i z powodów natury strategicznej. Niby że jaknajdalej od granic, w centrum kraju. Ale budzi się pewne zastrzeżenie. Czy właśnie ze względów strategicznych jest celowe grupowanie w jednym miejscu tylu ważnych a powiązanych z sobą ognisk przemysłu, między innemi i wojskowego.

Oczywiście fachowcy wojskowi znają się na tych sprawach najlepiej. Ale publicysta, nawet laik w tych sprawach, obdarzony jednak odrobiną myślenia kategoriami gospodarczemi i technicznemi, ma pewne powody do wyrażenia niejakich wątpliwości. Na tym polega opinia społeczna i płynące z niej skutki dobroczynne.

COP jest scentralizowaniem gospodarki przemysłowej. Pomijając już kwestię czy właśnie względy strategiczne nie nasuwałyby myśli raczej rozproszenia niż skupiania ognisk przemysłu zbrojeniowego, można rozumieć gospodarcze podłoże centralizacji przemysłu: węglowego, hutniczego, elektryfikacyjnego. Ale reszta — czy nie nadawałaby się raczej do decentralizacji? Jest to bowiem decentralizacja wytwórczości wskazana z powodów ekonomicznych i socjalnych. To do czego w Polsce nawoływał przez długie lata Z. Raczkowski, to zgoła nie żadne mrzonki, lecz twarda konieczność. Po co więc robić kosztowne eksperymenty, kiedy prędzej czy później do decentralizacji przemysłu dojść musi. Postęp techniczny i energia elektryczna umożliwia w dzisiejszych czasach produkowanie bardzo wielu wyrobów w średnich i małych warsztatach.

Lokata miliona złotych w jednem przedsiębiorstwie da mniejszy bez porównania efekt gospodarczo-społeczny niż ten sam milion inwestowany w stu drobnych warsztatach. Drobny przemysł hamuje wzrost bezrobocia, a poza tem drobny przemysł, nie zwiększając produkcji, może wchłonąć znaczniejszą liczbę robotników. Jest to ogromnie ważne.

Siegfried, słynny francuski uczony ekonomista i socjolog, wykazuje na przykładach, że bogactwo Francji stworzył właśnie drobny przemysł. W Polsce zaś urzędy skarbowe rujnowały drobne warsztaty, natomiast polipy wielkokapitalistyczne doznawały, a być może, iż w dalszym ciągu doznają — faworów.

QUIS

NA MARGINESIE

— Dwie instytucje mnie martwią, że taki ich byt niepewny — to Liga Narodów i nasz OZN.

— Nie jest tak źle. Czytałem, że Negus abisyński opłaca wciąż składki na Ligę.

— Ja też liczę trochę na Miedzińskiego.

*

— Dobrze, że zwrócono uwagę na problem Matek.

— Masz na myśli Poradnie Macierzyńskie?

— Wogóle. Cóż to za piękna idea: Święto Matki! Ciekawym, kto to ją wymyślił.

— Są takie instytucje ideowe. Słyszałeś świeżo o „Ogniwie". Na to one są, żeby tacy ideolodzy jak Muszkat lub Zielony narzucali społeczeństwu idee.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.